

The cover features a dark brown background with a light-colored, stylized floral and foliate border. The border includes large flowers with multiple petals, smaller five-petaled flowers, and flowing, leaf-like motifs that frame the central text area.

# ZAKANIE ŚLĄSKIE

KWARTALNIK LITERACKI  
ROK DRUGI ZESZYT: I.

WZÓR NA OKŁADKĘ WZIĘTY Z MALOWANEJ SKRZYNI Z GÓRNEJ SUCHEJ.

PROJEKTOWAŁ I CIAŁ W LINGLEUM BERNARD KOTULA.

## SPIS RZECZY:

	<i>Stronica :</i>		<i>Stronica :</i>
1. Od redakcyi . . . . .	1	14. Ty się mścisz . . . . .	38
2. Klasztor Benedyktynów . . . . .	1	15. Ukochałem śląski lud . . . . .	39
3. Maciejowice . . . . .	3	16. W szczerem polu gruszka stoi . . . . .	39
4. Do Śląska . . . . .	7	17. Ej znam ja ptaszka w lesie . . . . .	40
5. Już jaskółki uleciały . . . . .	7	18. Góry, doły, czarny las . . . . .	41
6. Iste roki . . . . .	8	19. Coś tam w lesie puknęło . . . . .	42
7. Testament proboszcza . . . . .	22	20. Na wodzieniec, na potoku . . . . .	43
8. Na złą nutę . . . . .	24	21. Stoi na łączce Olszynka . . . . .	43
9. Nasza broń . . . . .	25	22. Najpoczytniejsze książki . . . . .	44
10. Bo przysięgła . . . . .	25	23. Głosy . . . . .	47
11. Fata morgana . . . . .	28	24. Kobiety . . . . .	48
12. Rozstanie . . . . .	29	25. Materyały . . . . .	48
13. Jyndrys . . . . .	29		

### W skład redakcyi wchodzą:

*Dr. Ernest Farnik*, (do krytyki, dramatu, rzeczy ludoznawczych.)

*Ks. Emanuel Grim*, (do rzeczy epicznych i lirycznych)

*St. fil. Emil Niobrój*, (do rzeczy powieściowych.)

*Prof. Franciszek Popiołek*, (do rzeczy historycznych.)

Część muzyczną redaguje *naucz. Andrzej Hławiczka*.

O formę zewnętrzną stara się *naucz. Bernard Kotula*.

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.

ABONAMENT RÓCZNY PŁACI SIĘ Z GÓRY: W Austrii 4 K, 20 h, W Niemczech 4 K 50 h, do wszystkich innych państw 4 K 80 h.

(Administracya „Zarania Śląskiego“: Cieszyn, Dworkowa 2. Śl. Austr.)

PIERWSZY ZESZYT DRUGIEGO ROCZNIKA WYSZEDŁ Z DRUKU 15. LISTOPADA 1908.

WYDAWCA: TOW. LUDOZNAWCZE W CIESZYNIE.

410 3/5

r. 1908 - 2012.1.

r. 11. 2012.1.



13  
Fot. H. Jandaurek, Cieszyn.



#### Wesele Jacków jabłnkowskich.

Mieszczanie jabłnkowscy posiadają swój starodawny strój „Jacków”, który przybierają w dnie uroczyste. W środku siedzą państwo młodzi, na lewo drużbowie, na lewo i prawo starostowie, w kółko stoją goście weselni.

# ZARANIE ŚLĄSKIE



ZESZYT 1.

PAŹDZIERNIK, 1908.

ROK II.

## OD REDAKCYI.

Począwszy od 2. rocznika właścicielem i wydawcą „Zarania śląskiego” jest Towarzystwo Ludoznawcze w Cieszynie. Zyskują na tej przemianie obie strony: Towarzystwo ożywi się i rozszerzy wpływ swój, pismu odpadnie cecha przedsiębiorstwa prywatnego. Prenumerator uiszczając należność uświadomi sobie, że popiera dwie instytucje.

Dzięki Intelligencji śląskiej Zwanie ma już silną podstawę, musi jednakowoż starać się o ciągły przyrost odbiorców i pracowników, aby stało niebawem na wysokości zadania. Obowiązki redakcyjne przydzielił Wydział Towarzystwa wymienionym w tytule osobom, celem podziału pracy.

Kierunek pisma pozostaje ten sam, ponieważ statutem towarzystwa przewidziane są „własne wydawnictwa, wspieranie prac literackich i wydawnictw obrazowych.” (§ 4. ust. 3. i 4.)

W Cieszynie, 31. października, 1908.



Ks. Macoszek.

## KLASZTOR OO. BENEDYKTYNÓW W ORŁOWEJ.

(Dokończenie.)

Tak jako dzieje klasztoru orłowskiego wogóle są niepewne, tak też i koniec jego tragiczny zasłonięty jest mgłą, która bodaj czy kiedy opadnie. Budynek klasztorowy został doszczętnie zburzony, z ruin jego — tak głosi podanie ludowe — zbudowany zamek w Rychwałdzie. Przy tym pogromie, z którego tylko kościół ocalał, zaginęło także archiwum i księgozbiór, a co gorsza los nienawistny zrządził, że i księgozbiór klasztoru tynieckiego, przeniesiony z tamtejszego opactwa do Lwowa, w zawieruchach roku 1848 padł ofiarą płomieni, tak iż przepadły na zawsze źródła, z którychby można czerpać także wiadomości o Orłowej. Więc i co do końca klasztoru orłowskiego skazani jesteśmy prawie jedynie na podanie ludowe.

Było to w połowie 17. wieku. W Księstwie Cieszyńskim sprawował rządy podczas małoletności Wacława Adama, syna Kazimierza II z rodziny Piastów, magnat morawski Jan Pernstein z Helfensteinu, sprzyjający wielce sekciarstwu, szerzącemu się podówczas na Morawie i w Czechach. Nie trudno sobie wyobrazić, w jakim kie-





runku wychowanie młodego księcia w takim domu się dokonywało. Nie dosyć jednak na tym jednym wpływie, do uszu księcia dochodziły coraz częściej i coraz głośniej echa tak zw. reformacy i pogłoski o przewrotach, jakie się w Niemczech dokonywały pod względem kościelnym i państwowym. Już i na Śląsku, zwłaszcza dolnym i średnim Piastowicze odstępowali jeden za drugim od wiary ojców i korzystając z nauki mnicha witemberskiego zabierali dobra kościelne, aby zaszargane fortuny przywrócić do dawniejszego blasku. A nie było takiego, coby był mógł i chciał stawić opór i tamę płynącemu ze zachodu prądowi. Mówiono przecież, że i sam biskup wrocławski Baltazar Prowitz sprzyjał otwarciu dzieła Lutra.

Zasada ogłoszona na sejmie augsburskim „cuius regio, illius religio” musiała wobec tego wywołać na naszym Śląsku ogromne zmiany. I nasz Wacław Adam, objąwszy rządy księstwa, uznał za stosowne naśladować swoich kuzynów w Lignicy, Brugu i gdzie indziej, i przyjąwszy reformację Lutra, w myśl owej niesprawiedliwej zasady począł prześladować katolików w swoim księstwie. O ile wewnętrzne przekonanie religijne wpływało na jego postępowanie, kóżto stwierdzić może? Ówczesni panowie nie lubili zagłębiać się w studia dogmatyczne, a u jednego z nich znajomość najgłówniejszych zasad wiary szwankowała. Sami protestanccy pisarze, nawet i Biermann, przyznają, że książęta śląscy przy zmianie wyznania powodowali się prawie wyłącznie względami materialnymi. Żyjąc ponad stan, cierpieli ciągle na brak gotówki, zapożyczali się u mieszczan swoich, zastawiali, co się dało, byle się postawić. Taka gospodarka wiecznie trwać nie mogła. Skąd jednak pustki w kasie książęcej zapełnić? Tuż pod okiem książąt leżały wzorowo zagospodarowane dobra klasztorne, pomniki pobożności przodków; trzeba tylko śmiało wyciągnąć rękę, pozór się znajdzie. Jakóż i tutaj się znalazł.

W r. 1560 rządził w Orłowej klasztorem O. Jan Burzyński, wysłany jako opat z klasztoru tyńskiego. Niedługo po przybyciu swoim spostrzegł w postępowaniu ks. Wacława kierunek nowatorski i wystąpił śmiało przeciw niemu w swoich kazaniach. Przeto ściągnął jednak niełaskę Wacława na siebie i na klasztor orłowski. Wacław oburzony śmiałością zakonnika wymógł na opacie tyńskim, iż O. Jan odwołany został. Klasztor orłowski został na razie bez opata. Co dalej się stało, to już wiemy z dokumentu o blisko półtora wieku późniejszego.

O. Lambert Klönn pisze w swojej prośbie o zwrot zabranych dóbr klasztornych, wystosowanej do cesarza Leopolda w r. 1696, że na rozkaz księcia Wacława zakonnicy gwałtem i podstępem z klasztoru wydaleniu zostali i że przy tej sposobności nawet krew się polała; mianowicie miał zostać zabity z kuszy O. Jakób, który się schronił na wieżę, przez niejakiego Głuszaka, strzelca klasztornego. Dalej podobno zginęli dwaj zakonnicy podczas ucieczki w Polskiej Ostrawie.

Te szczegóły zdaje się miał O. Lambert z podania, jakoteż i opowiadanie, że książęcy marszałek dworu Lesel przyniósł ze sobą kilka baryłek węgryzna, aby tem łatwiej zakonników do opuszczenia klasztoru nakłonić. Jest w

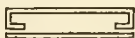
tem dużo przesady, a co do wina — to może tylko żart złośliwy. Książęta cieszyńscy nie byli już wówczas tak zasobnymi panami, żeby mieli węgryzna w baryłkach w piwnicy.<sup>1)</sup> To jednak stwierdza niezaprzecznie, że klasztor bezprawnie zniesiony został, a dobra jego również bezprawnie zabrane zostały, częścią przez komorę książęcą, jak Orłowa, Łazy, Poręba, P. Lutynia, Rychwałd i część Dzieńmorowic, reszta przez okoliczną szlachtę. Kościół oddano Luteranom do użytku, ustanawiając niejakiego Abrahama Zielińskiego plebanem, który „ani po łacinie nie umiał”. Kiedy zaś klasztor zburzony został, tego także dokumentnie oznaczyć nie można.

Klasztor Tyniecki usiłował kilkakrotnie odzyskać na powrót opactwo orłowskie wraz z jego dawnymi posiadłościami królów polskich, ale daremnie, co szlachta zagarnęła, tego jej nawet ani władza cesarska odebrać nie zdołała. Misya O. Lamberta spełzła na niczem.

Tak zniszczyła w naszym kraju reformacja ognisko kultury polskiej, wydając je w ręce obce. Opactwo Tynieckie, nie mogąc dojść swojej krzywdy, rzekło się Orłowej, po którą zgłosili się Benedyktyni z Brunowa w Czechach; oni też dotychczas zarządzają parafią orłowską, do której obecnie po oddzieleniu Dąbrowej należą gminy: Orłowa, Łazy i Poręba.

Na wzgórzu orłowskiem zmieniło się wiele od owych zająć gwałtownych. Dawni panowie tego kraju spoczywają w podziemiach kościoła podominikańskiego, dziś parafialnego w Cieszynie, ich spuściznę objęli inni. I Orłowa przeszła w ręce obce. Tam w dolinie nie ma już rozległych borów, na miejscu balsamicznych lasów wznoszą się bardzo wysokie, okopcone kominy fabryczne, a zamiast szumu wierzchołków słychać gwizd maszyn i zgrzytanie kół.

Nawet stary czcigodny kościół, pamiętający czasy klasztorne, ustąpił miejsca nowej budowie, tylko „prezbyteryum“, czyli część kapłańska ocalała z pogromu. O ściany i sklepienia kościoła odbija się mowa inna niż przed wiekami; język polski, który tutaj brzmiał przez tyle wieków na chwałę Bożą i ku zbudowaniu ludu wiernego, dziś toczy walkę we własnym domu o swoje prawa.



Wł. Górniewicz.

## MACIEJOWICE.

I.	brzozy rozścielają po ziemi krwawe li-
Znasz Maciejowice?	ście; na stawach pływa czerwony szu-
Bolesny widok... Smutny widok...	war i żółto-brunatny kosaciec. Wszyst-
Łzy krwawe płyną z źrenic!...	ko to ma barwę czerwono-rdzawą, bo

<sup>1)</sup> O ks. Adamie, następcy Wacława, opowiada Peter w historii miasta Cieszyna, iż prosił Sobka z Błogocic o pożyczenie baryłki wina na przyjęcie gości — ale daremnie.

korzenie ich nasiąkły krwią polską, ty-  
siącem łez polskich i do dziś w ich ży-  
łach płynie ta krew, choć od klęski Ma-  
ciejowickiej 114 lat upłynęło!

Białe nenufar odbija rażąco od cie-  
mnej toni wody i tworzy dysonans.  
Przypomina, iż legły tu czyste polskie  
serca w obronie Macierzy... w obronie  
Polski!

Białe mgły włączą się po nocach.  
Mają kształt zaklętych rycerzy...

— Wstaną i pójdą w święty bój...

— Ciemierzcom Polski zgotują grób

— szepce łozina...

— Złodziejom odbiorą zdobycz... —  
szeleści odymka...

A wody Okrzeji mienią się barwą  
rdzawą... resztkami polskiej krwi.

## II.

Wojna!

Wojna rozszalała się na całym ob-  
szarze ziem udreżonej Rzeczypospoli-  
tej.

— Wojna! Takie hasło brzmi z je-  
dnego końca Polski na drugi...

— Do broni!...

— Bić Moskale!...

— Kościuszko dowodzi!...

— Racławice!... zwycięstwo!...

Takie echa niosą między zbołały na-  
ród wszystkie usta, wszystkie fale rzek  
Polski; podmuchy wiatru, szuwały  
stawu i mgły białe...

Ruszył się naród. Zadrzały męczone  
rzesze...

Fala zapowiedzianej wolności, na-  
dzieja odzyskania swobody, wetknęły  
ludziom broń w rękę...

Wieśniak nabił na wprost kosę,

mieszczanin zarzucił dwururkę na plecy  
i obaj ciągli do wodza w sukmanie!...

Pod Racławicami zbito Moskali,  
wzięto odwet za rozbiór Polski, za braci  
gnanych na Sybir... Sławę Racławic  
zdobył Polsce syn od pług i kopaczki  
— Bartosz Głowacki! —

## III.

Maciejowice...

Mała wioska moczarzystą, w części  
położoną na wzgórzu i otuloną zaro-  
śłami.

Pełno w niej dziś namiotów, ludzi i  
koni.

Słuchać kroki...

— Kto tu?

— Swój!

— Hasło?

— Polska!

— Odzew?

— Kościuszko!

— Pilnuj!!!

Zmieniono wedety i straż pociągnę-  
ła dalej.

Obóz nie spał. Żołnierz stał goto-  
wy do walki, pod bronią...

W kwaterze naczelnika błyszczy  
światło.

Wydaje ostatni rozkaz Ponińskie-  
mu, by niezwłocznie ruszył zza Wisły i  
uderzył podczas walki na tyły Moskali.

Druga godzina w nocy; posłaniec  
pospieszył oddać rozkaz Naczelnika Po-  
nińskiemu.

Kościuszko wsparty na ręce, roz-  
myśla o jutrzejszym boju...

Niemcewicz i Fiszer odczytują Na-  
czelnikowi ze starych gazet, znalezio-  
nych w spalonym przez Moskali dwo-



rze maciejowickim, raporty i opisy zgonu Augusta II. Sasa.

Zagrały działa...

Kościuszkę drgnął. Spojrzał na zegarek... 5-ta godzina rano.

Wypadł przed namiot.

— Zginie, lub zwyciężym! — szepnął do Fiszera.

— Zwyciężymy, Naczelniku!

Za Wisłą, we wsi Tyrzynie stali Moskale pod wodzą Fersena, wyciągnięci w długą linię bojową, nie mającą końca.

Spojrzał Kościuszkę na swoich... Garstka ledwie; 7 tysięcy piechoty i jazdy — Krakusy uzbrojeni tylko w kosy.

Nie zwątpił jednak.

Dał hasło do boju...

Artyleria polska świetnie grała i robiła szalone szczyby w szeregach Moskali. Lecz i Polaków ubywało. Z każdą chwilą szeregi ścieśniały się...

Wół trupów wzrastał z każdą minutą.

Zaczęło brakować kul i prochu...

Żołnierz poszedł na bagnety.

— Jeszcze chwilę bracia! — w imię Polski gińmy — woła Naczelnik, przebiegając szeregi wśród gradu kul...

— Niech żyje Polska!

— Wiwat Kościuszkę!

Z tęsknotą i rozpaczą wyglądał Ponińskiego. — Zajdzie Moskali z tyłu a wtedy wzięci we dwa ognie...

Próżna nadzieja... Ponińskiego nie ma!...

— Naczelniku! Krzycki padł!!

— Wojciechowski uchodzi z pola bitwy z ułanami!...

— Kopeć w niewolę wzięty!...

— O Polsko moja, daj mi za siebie zginąć! — woła zrozpaczony Kościuszkę.

szko i wydał rozkaz formowania czworoboku.

Napróżno!... Niema nikogo!! Legł pułk Działyńskich tam, gdzie stał. Ni jeden żołnierz nie ocalał!!! Zginęli, lecz nie poddali się!!! Czerwone kapoty leżą szeregiem obok siebie, gdzie który stał... i dają świadectwo męstwu Polaków!!

Chwała im!!!

Do śmierci żyli tylko dla Polski!! Resztki Krakusów i pułk Czapskich bronią się jeszcze mężnie, lecz opór słabnie...

Moskwa górą!

— Hurra! wrzeszczy pijana tłuszcza.

— Bracia do mnie! — woła Naczelnik. Chce rów przeskoczyć, zabrać resztki rozbitków koło siebie...

Nagle koń padł.

Kościuszkę dostał się pod zwierzę. Zemdlał...

Padła ostatnia nadzieja, konającej Polski.

Tłum kozactwa go pokrywa, żga pikami. Nie poznał Moskal wodza Polski w chłopskiej sukmanie.

— Oj Maciejowice! Maciejowice!

Ile wy krwi polskiej kosztowały!!

Ile wy łez wycisnęły szlachetnym córkom i synom Polski!!

Na waszych polach leżą najszlachetniejsze serca polskiej Macierzy!!!

#### IV.

Fersen tryumfuje...

O 1-szej z południa było po bitwie. Moskale rabują tych, którzy przed chwilą tak mężnie walcząc, padli. Znoszą rannych, liczą jeńców. Brakło naj-

ważniejszego — Kościuszki. Wyślano rabusiów na szukanie. Wszak to największy filar Polski — a najpożądany jeniec dla rozpustnej i mściwej carycy Katarzyny...

O piątej popołudniu przyniesiono Naczelnika na pikach kozackich skrwawionego i rannego; bez przytomności... Caryca mogła odetchnąć!...

Może bezpiecznie dalej rabować w Polsce...

Kościuszko nie poprowadzi już hufców do bitwy...

## V.

Po poboju włóczą się cienie szare... Księżyc zielonawym blaskiem oblewa potoki krwi skrzepłej, co błyszczą, niby rozlane srebrne kałuże...

Wiatr roznosi liście drzew i okrywa nimi, niby wieńcami laurów, trupioblade czoła poległych Polaków... Trawa szepce im do ucha ostatnie ziemskie pożegnanie...

Fale Wisły grają im swym szumem ostatnią pieśń nagrobną...

Rosa, niby łyzy ludzkie, zwilża im oczy, by silniej spali i marzyli o ukochanej Polsce...

Słuchać szmery...

Wojsko nadchodzi... Ostrożnie, po mału...

Spojrzeni!

Jedna straszna skarga wybiega im na usta:

— Zapóźno!!!!...

— Chryste!!!!...

— Tyle krwi!...

— Zginęli...

— Gdyby wcześniej!!!!...

— Gdzie wódz?? Gdzie Naczelnik?

To korpus 5-tysięczny Ponińskiego; teraz nadszedł... po bitwie!! wieczór!!!!

Niedbałość, lenistwo, brak poczucia obowiązku u Ponińskiego, zgubiły Kościuszkę.

Zgubiły Polskę!!

Sprowadziły Maciejowice!!!

## VI.

Minął wiek cały.

Lecz w pamięci narodu polskiego żyje Naczelnik, umiłowany nasz wódz. Żyją jego ideały w najmłodszych. Pamięć Kościuszki w narodzie nie zginie!!

Wyje jesienny wiatr skargą i bólem z pól Maciejowic pomordowanych przed stu laty braci...

Z zachodu zaś i północy niesie nam echo krzyk katowanej polskiej dziatwy.

Umiłowały tę Polskę, jak ich praojce przed stu laty ją kochały... Dla niej tamci polegli, dziatwa dzisiaj dla niej cierpi...

Przelana krew na polach Maciejowickich wydała bujne Polsce owoce!!

Polską dziatwę...

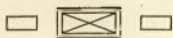
Po tamtych została nam boleść, te zaś napełniają nas dumą i otuchą...

Niekiedy wiatr odgrzebie białą kość na polach Maciejowic, a ta swą białością zda się błagać Najwyższego:

— Zmiłuj się nad nami, Panie!!

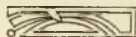
— Wysłuchaj nas!!!

— Skrusz nasze kajdany!!!!...



## DO ŚLĄSKA.

1. Płyn śląska nawo  
Rączo i żwawo  
Przez burz odmęty!  
Wszak ci przewodzi  
Duch naszej młodzi,  
Duch nieugięty!
2. Choć wichry w drodze  
Rwą żagle srodze,  
Ty rączo płyn!  
Nie bacz na burze,  
Na niebo w chmurze,  
Na wietrzny dzień!
3. Płyn śląska nawo  
Rączo i żwawo  
Przez burz bałwany!  
W ciche przystanie  
Suć w morskiej pianie,  
W port ukochany!
4. Choć w burz powodzi  
W sercach się rodzi  
Zwątnięcia cień,  
Ty niec nadzieje,  
Choć męstwo mdleje  
I naprzód płyn!
5. Płyn śląska nawo  
Rączo i żwawo  
Przez burz odmęty!  
Wszak ci przewodzi  
Duch naszej młodzi  
Duch nieugięty!



## JUŻ JASKÓŁKI ULECIAŁY...

1. Już jaskółki uleciały  
Pod same błękity,  
Ponad lasy, ponad skały,  
Ponad górskie szczyty,  
By pożegnać nasze chaty,  
Te gościnne progi,  
Gdzie je lubiał pan bogaty  
I kmiotek ubogi...
2. Już się pod niebiosą wzbiły  
I szybują w górze,  
Zaprawiają skrzydeł siły  
Na wędrowne burze,  
Bo te skrzydła je poniosą  
W ciepły kraj daleki,  
Gdzie je chmury skąpią rosą  
I sparzą słońca spieki...
3. Żal im tej wieśniaczej strzechy,  
Żal im tego sioła...  
Tu im grały dziewic śmiechy  
I dzwonek kościoła,  
Tu im śpiewał chłop przy kosie  
I pastuch na łące,  
Tu się szkliły w rannej rosie  
Kwiatczków tysiące...
4. Żal im rzucać lube strony,  
To ciche poddasze  
I te błonia, te zagony  
I te serca lasze...  
Bo czy wróćą wczesną wiosną  
W skrzydeł pełnym pędzie,  
Czy zanucą pieśń radosną  
Na tej śląskiej grzędzie?...



## ISTE ROKI. ODSŁONA DRUGA.

„Ekstracymra“ w gospodzie pod Mokrą Gwiazdą w Cieszynie. Na ścianach, upstrzonych napisami niemieckimi, obrazy banalne. Nad drzwiami napis: „Dzisiaj za pieniądze, jutro na bór.“ Stoły przykryte pstrymi obrusami, na nich spodki pod krygle, wkoło stołki, w ścianie bocznej „blintfel“ z rozolkami. Wchodzi się z pola z boku; na prost sceny w głębi prywatna izba gospodzkiego.  
Czas: żniwa roku 1887, czwartek koło południa.

### SCENA PIERWSZA.

*Mynarzyk, Mynarzycza, później Gospodzka.*

(Wchodzi Mynarzyk, ubogo świątecznie ubrany: w krótkim żupanie, przez plecy przewieszony ma potrójny płaszcz starośląski, w ręce trzyma bicz kuczerski. Kapelusze zdejmując dopiero na środku izby. Za nim Mynarzycza, ubogo, ale odświętnie ubrana.)

*Mynarzyk.* (Przystaje we drzwiach i, oglądając się za siebie, woła gderliwie.) No tóż pódz staro! Stoisz jak nieoblizane stworzeni i boisz się weńść. (Wchodzącą popycha lekko.)

*Mynarzycza.* Nie sturkej mie, wilkodłaku, bo se jeszcze te stare klepeta połonię, a potem mie bedziesz wozil na wózku.

*Mynarzyk.* Jeszczebych wózek zbiéroł; wsadziłbych cie na tragacz, zawióz do plosa i basta. Dej se pozór, aż cie jeszcze dzisiaj nie chynę do wymolo, jak mi nie dosz zaros postawić kwaretki!

*Mynarzycza.* Toś mie tu poto wciągnęł miliontniku, aby mój ostatni sztwiórok z kapsy mi wydrzyć? Nie przislichmy tu popijać; siednijmy i czakejmy, aż Siekierowie przydą, coby sie wiedziało, co snami, czy pójmy pieszo, czy pojady.

*Mynarzyk.* (Cinka spodkiem o spodek.) Ba! jużci bedem po suchu siedzioł!

*Mynarzycza.* Cinkej se cinkej, jo moigo sztwióroka nie dom.

*Mynarzyk.* To wypijem na borg. (Siadają.)

*Mynarzycza.* Nie widzisz, co stoi nad dwiérzami: dzisiaj za pieniądze, jutro na borg!

*Mynarzyk.* To dom jutro zapisać. (Cinka uporczywie. Wchodzi gospodzka, po mjejsku ubrana, starsza kobieta, obszerna, z pękiem kluczy u boku.)

*Gospodzka.* Witom was gazdoszkowie!

*Mynarzycza.* (Równocześnie.) Pon Bóg zapłać za przywitani.

*Mynarzyk.* Gazdowie nie na swoim!

*Mynarzycza.* My jeny momy doczkać na naszych gazdów, że zaroz przydom; mają tu być iste roki cerzyne, jako Zuzancyne, z tym pieknym panoczkiem, tym półhalwokatem.

*Gospodzka.* Ja, tościewy od Siekierów!

*Mynarzycza.* Nó, jenó, wymótnicy.

*Mynarzyk.* Przyniesą też tam paniczko moji babie kwaretkę książęcej, bo już sztwiórok w palcach obraco.

*Mynarzycza.* Boże uchovej, paniczko! Szkoda by było jeich nóg, bo jo nie zapłacem. Niech se pije za swoi nie za czyi.

*Gospodzka.* Zaros przyniesę. Nie będzie to kosztować nic. Tu dzisio pon Pieczonka płaci,

*Mynarzyca.* (Uradowana.) Ludeczkowie kany, to je fajny pon; nó tóż mi też przyniesą, jakby już to musiało być, ale jakij słodkij. (Gospodzka idzie ku „blintfelu“.)

*Mynarzyk.* A jużci! Coś prawila przed chwilą? Byliby głupi! Nic ji nie przynoszą paniczko, bo ona kazuje pić za swoi, nie za czyi.

*Mynarzyca.* Nie podchytuj mi moji rzeczy, boś nie sztydyrowoł we szkołach, jeny przy koniach.

*Mynarzyk.* Przy koniach, alech przeca sztydyrowoł cosi porządnego. A ty nie sztydyrujesz nic, jeny jakoby co dobrego zjeść i połknąć, — za czyi.

*Mynarzyca.* To nie idzie z twoigo, tego mi życz.

*Gospodzka.* (Przynosi kwaretkę i stawia przed Mynarzykiem, sobie i Mynarzycy przynosi po kieliszku słodkiej i stawia na przeciwległym stole z drugiej strony, gdzie siedzi od początku

*Mynarzyca.* Do Mynarzyka :) Pijcie gazdo! (Cinkają sobie.)

*Mynarzyk.* Na jejich zdrowi paniczko!

*Gospodzka.* (Do Mynarzycy:) Na zdrowie! (Siada przy niej, tyłem do Mynarzyka.)

*Mynarzyca.* Aż im służy po długi czasy. Na te naszą pierwszą znajomość! (Piją.)

*Gospodzka.* Ale mi też powiedzcie, moiściewy, czy Zuzanka rada idzie za tego Pieczonkę?

*Mynarzyca.* Mogą myśleć. Strasznie sie raduje, że będzie paniczką.

*Mynarzyk.* A już ci. Nie wierzą ji, bo to nima prawda, co ona tu bajdurzy.

Zuzanka je szwarne dziewczę. Onej lepsi po wałasku. Jako przestrojka wyglądałaby jak nieprzymierzając straszdyło na wróble.

*Gospodzka.* Nó, nó, po cichu, joch sie też przestroila za młodu, a żoden mie nie przezywoł!

*Mynarzyk.* Przeboczom paniczko, jo ni mogem za to, ale dybych jo był przy tem, nie byłbych im darowoł.

*Mynarzyca.* Dyc być cicho, ty stary mamroniu, bo tu nimosz nic do rozkazu. Zuzanka już je przestrojono; szakech ją oblękała u szwadleny rano, to wiem!

*Mynarzyk.* Toście ją fórt przestroili? (Oburzony.) Uwidzicie, że was Pon Bóg za to skorze, bo to je ciężki grzech poniewierać swoimi szatami, które Pan Bóg dał przodkom naszym, a stroić sie cudzymi lonciskami, co dość na tem ani na kościach leżeć nie chcą, bo człowiek do nich nie pasuje. Z piekła rodem nowo moda!

*Mynarzyca.* Jak ją uwidzisz, że ji to pasuje, to sie ci samemu będzie podobać.

*Mynarzyk.* Ani sie na nie podziwom. (Gospodzka stawia przed nim drugą wódkę.)

Dziękuję pięknie paniczko!

*Mynarzyca.* Teraz już pij, a dierz gębe, bo cie nielza przeposłuchać!

*Gospodzka.* (Stawia przed Mynarzycą drugi kieliszek.) Pijcie babko, moiściewy, a czy też nie wiecie, co Pieczonka dostanie ze Zuzanką?

*Mynarzyk.* (Mięsza się w rozmowę.) Kija mu dać; niech se w mieście hledo bogatych dzieuch i niech nie bierze piniędzy z dziedziny do miasta, kie ich tu je dość w kasach, kapsach i rozmaitych sztajramtach.

*Mynarzycza.* Na potfornioku jeden, bedziesz już roz cicho! Czy to idzie z twoigo?  
(Do gospodzkiej.) Wiedsom paniczko, ni majom za złe moimu chłopu, ale on już je z notury taki rozeżrany na miejskich ludzi. (Ciszej.) Wiedsom, Zuzanka dostanie ze dwanost tysięcy.

*Gospodzka.* Moiściewy babko! Ale wasz chłop mo recht. (Mynarzyk wytyża ucha.)  
Bo tak wiecie, jak se to człowiek rozwoży, jak niejeden w mieście mo bai dzieuche, a potem, jak co nagro i trza mu piniędzy, to dali po nich na dziedzine....

*Mynarzyk.* (Udaje jak gdyby był słyszał tylko ostatnie wyrazy.) Dyć tak! że dali po nich na dziedzine niż do miasta!

*Mynarzycza.* (Do ucha.) Czy to o Pieczonke rzecz?

*Gospodzka.* Nie prowcie tego żodnymu, boch jo je zło na Pieczonke, że taką porządą dzieuche tu w mieście zwiód i okminił, wiecie, to je cera moi kamratki.

*Mynarzycza.* Radabych jednako wiedziała, czy to je prawda.

*Gospodzka.* (Silnym głosem.) Na cóżbych łgała kiedy wiem. Ale moiściewy nie prowcie tego nikomu!

*Mynarzycza.* Kataćteżtam! Dyćbych se wołała język urnyć niż co powiedzieć! Boby móгло być z tego strasze piekło. Joch usz je przehetkano w tych rzeczach, przedemną mogą wszystko powiedzieć!

*Gospodzka.* Moiściewy, ale wasz chłop możne słyszol!

*Mynarzycza.* (Zbliża się ku niemu i nasłuchuje; słychać lekkie chrapanie.) Ale on już nadobrze spi. On tak hnet klupnie, jak se co popije. Czy Pieczonka mo co z tą isną?

*Gospodzka.* (Idzie popatrzeć pod drzwi, czy kto nie podsłuchuje, potem mówi bez żenady dosyć głośno od drzwi.) Ale, moiściewy, skąd sie weź tu sie weź, dwa chłopcy naroz, bliźnioki — możne znocie te szwadlene z Szerokij hóllice?

*Mynarzycza.* (Z ogromnem zaciekawieniem i ożywieniem.) Te? Prowda że znom! To usz wiem, ona mieszko naprociwko gospody pod Żabą! (Załamując ręce.) Zrządzeni Boski! Zrządzeni Boski!

*Gospodzka.* Czemuż tak?

*Mynarzycza.* Dziwny trefunek, wiedsom. To je ta sama, co Zuzanka u ni dała uszyć, wiedsom, ty miejski szaty. Otoch była przed kościołem u ni. Zuzanka przewyłała sie tam przed dziewiontową, bo potem szła z Pieczonką na fare, wiedsom, dać na ogłoszki i pierwszy roz na nauke.

*Gospodzka.* Dyć wiem, mój stary też tam poszeł na protokol.

*Mynarzycza.* A Siekierowie też. Nale, wiedsom paniczko, zrządzeni Boski! Joch to zaroz poznała, że ta szwadlena cosikej je nieswoja; bo jak Zuzanke oblykała.....

*Gospodzka.* To już po drugi roz!

*Mynarzycza.* Nale wycie wy ludkowie, nale, nale..... (Nie może przyjść do równowagi.)  
A taki miała oczy zapłakane, jak Zuzanke oblykała, a ręce sie ji trzęsły..... Teraz już wiem skyrz czego!

*Gospodzka.* Ja, ja, tak to tak! (Chwila pauzy.)



*Mynarzyca.* Tak mi luto tej stwory, że aż mi do płaczu idzie. (Ociera fartuchem suche oczy.) Na czemuż se ji nie bierze stodjobelnik?

*Gospodzka.* Hm, moiściewy, śmietonke wylizoł, a teraz łoteczki nie chce, gor jak sie w ni chroboczki malutki zaczyną plonąć. Ona grejcarkem nie smerdzi, a onemu piniązki woniąją.

*Mynarzyca.* Odmłowi mu Zuzanke!

*Gospodzka.* Gdowie na co ona tam szpekuluje. Mógła już odmłować, dyby była chciała, ale musi mieć sniom Pieczonka kontrak.

*Mynarzyca.* Aha, już wiem, niby że.... (Pokazuje palcami ruch płacenia.)

*Gospodzka.* Nó ja! Ale kontrak je kontrak, a gęba gębom. Bedzie go to jeszcze moc kosztowało, bo ji bedzie musioł fót gębę zamazować. Zato sie też musi bogato żenić!

*Mynarzyca.* Wiedzom, ale ludzie doniesom!

*Gospodzka.* Byleby po ślubie.

*Mynarzyk.* (Nagle.) Już je po ślubie! (W tej samej chwili mocne pukanie do drzwi. Kobiety podnoszą się szybko jakby spłoszone i leżą do drzwi. Podczas tego Mynarzyk wstaje i zaciskając pięści mówi w stronę publiki.)

*Mynarzyk.* Jędrysku, już go mom! (Mynarzyca zauważa to z przestachem. Do żony.) Babo, terazech jo tu pon, boch wszystko słyszoł!

*Mynarzyca.* (Błagając.) Dło Chrysta Boga cicho siedź!

*Mynarzyk.* A jużci!

## SCENA DRUGA.

*Mynarzyk. Mynarzyca. Gospodzka. Siekierowie. Gospodzki.*

(Przez drzwi otwarte słychać głos gospodzklego: proszę, proszę! Wchodzą Siekierowie, za nimi zamyka drzwi gospodzki, wszyscy odświeżnie ubrani.)

*Gospodzka.* Tu są gazdowie! Pieknie witom gaździnko i was gazdoszku! (Podaje obie ręce.)

*Siekierzyna.* Nale dyć nima ani czasu dać pozdrowienio, oni nas pierszo witają.

*Siekiera.* Jeszcze tu nima tych młodych? Dyć usz je dwanosto.

*Gospodzka.* Nima jeszcze, ale przydą isto zaros. (Do Siekierzynnej.) Już majom naku-pione? Dyć se siedną, siodają! (Odchodzi ku blintfelu. Do męża.) Kandyż to ci młodzi są?

*Gospodzki.* Po protokole poszelech oto z gazdami, a oblubieńcy zostali na nauce u wielebnego. (Widząc, że żona ma zamiar przynieść trunek.) Przynieś, przynieś, wypijemy przed obiadem na dobry apetyt, poki ci młodzi nie przydą! Proszę siadać, proszę, proszę! (Siada z Siekierami przy stole bliżej kurtyny. Mynarzyca przysiaduje się ku mężowi w głębi sceny.)

*Gospodzka.* (Przynosi wina.) Proszę sie obsłużyć, a wyboczyć mi, że odchodzę, bo mi jeszcze trza kapke zazdrzyć do kuchenie; jak młodzi przydą z fary, bedem prosiła na obiod. (Odchodzi.)

*Siekierzyna.* (Za odchodzącą.) A dyć nie robią tela okoracyje snami.

*Gospodzki.* Jak mają być iste roki, to niech są uroczyste; musimy sie z moją połowicą jako przyszli starostowie postawić na nogi.

*Mynarzyk.* Nejprzód jo kogo inszego postawię na nogi. (Mynarzyca go szarpie i uspokaja.)

*Siekiera.* A dyć tu usz Mynarzykowie są, anich nie doł pozór.

*Gospodzki.* Cóż to za jedni?

*Siekierzyna.* To naszy wymołwnicy. On nas tu zawióz; ona była ze Zuzanką u szwadleny.

*Mynarzyk.* Dom jo mu szwadlene! (Żona go potrąca, aby był cicho.)

*Gospodzki.* To mu też trza co dać wypić!

*Siekiera.* Zrobiom mu wielkom wygođe, bo on se rod pociągnie.

*Siekierzyna.* Toć Im tego nie przychynie. (Gospodzki idzie po wódkę. Do męża.) Co ten

Mynarzyk je taki zły?

*Siekiera.* Jak dostanie gorzółki to sie udobrucho.

*Gospodzki.* (Stawia przed Mynarzykiem.) Macie, pijcie kmotrze! (Siada ku Siekierom.)

*Mynarzyk.* Zapłać Ponbóg. Alech nie wort tego, bo jak sie opijem, to mogę jakigo kłopotu narobić.

*Mynarzyca.* (Przygraża mu pokryjomu.) Abyś sie już nie opowozył co powiedzieć, bo sie przedemną nie obstoisz!

*Mynarzyk.* A jużci!

*Siekiera.* (Do Mynarzyka.) Francku, jak wypijesz, zaprzongej i jedź do domu, nie czakej na nas, pomożesz Jendrysowi stawiać reż, bo som nie skończy.

*Mynarzyk.* Na dyć eszcze zajadem...

*Siekierzyna.* (Do Mynarzycy.) A ty też wypij i zebier sie, a zóndź po ty wałaski szaty dzieuszynę do szwadleny, bo my sie tu bezma zabawimy dłuższy czas, to weźnież ten pinkiel na wózek i pojedziesz z chłopem.

*Mynarzyca.* Dobrze, gaździnko, już idem. (Wypija swoje i przygraża Mynarzykowi; po cichu.) Aż mi gęby nie odewrzesz! (Głośno.) A już idź zaprzongej, boch jo tu je w okumigu.

*Mynarzyk.* Zaros, gleich, a po gleichu za godzine; jo cie usz znom, jakoś ty prędko! (Popija.)

*Gospodzki.* Wielaż też ludzi majom do pomocy przy obrobieniu tych sześćdziesiąt jochów?

*Siekierzyna.* Momy jeszcze dwie dziewczki i dwóch pachołków.

*Siekiera.* Kataćteżtam dwóch. Jeden je takowy oto jeny postrzedniok, ledwa z pogonicza wyros. Ten drugi, z tego to mom pocieche, to jest szykowny gibczok.

*Mynarzyk.* (Głośno.) Szak też Jendrys je szykowny. (Mynarzyca potrąca go odchodząc, ciszej.) Szykowniejszy niż ten lucyper od tej szwadleny.

*Mynarzyca.* (Ociąga się przy odchodzeniu, bojąc się, że Mynarzyk zdradzi tajemnicę.) Dycki cosi bulcz, idź już zaprzongać!

*Gospodzki.* Cóż se ci dwa tela pogrożają?

*Siekiera.* Isto już mają godnie w czubie, tóż to oni potem tak...

*Siekierzyna.* Tak przyskakują do siebie. Nikiedy sie fest poczubią, ale ona mu poradzi i wymelszuje go aż uciecha.

*Gospodzki.* A gdo to je ten Jendrys?

*Siekiera.* To jest jego benjaminek... bo wiedzą, ci dwa nimieli dzieci; tóż jakich tego chłopca, sirote, tego Jędrysa, wzion za swe, to sie on do niego tak prziwionzoł jakby to był jego włośny syn.

*Siekierzyna.* Nie dziwota. Dycki społem robili, a potem też tata Jędrysów był strasznie dobry kamrat Mynarzyków.

*Gospodzki.* Pacholek szykowny ku robocie je nieprzymierzając więcej wert niż pora koni.

*Siekierzyna.* Szykowny je ku robocie, ale by lepszy pasowoł za rehtora niż za pacholka, bo jak jeny kany mo czas, to nad książką siedzi.

*Gospodzki.* To pięknie z jego strony; a może przy tem robote zaniedbuje?

*Siekiera.* To ni, tego nimogem rzec. Ale to je taki: On tu kansi sie opłoco do jakisi czytelnie w Cieszynie i tustela książki biere i czyto.

*Gospodzki.* To też zoleży, co czyto.

*Siekiera.* Cosi dycki powiado, że o Sienkiewiczu czyto, i potopie...

*Gospodzki.* To czyto z bibliję; ja, to może, to mu nic nie szkodzi, w bibliji je piękne czytani o potopie.

*Siekierzyna.* Ale to nima biblija, to są jakisi bojki. Moja dzieucha też to czyto fórt; choć ji to zakazujem to pokryjomu czyto, kamratkom pojęzuje, a jak sie zbierom, to już o niczem nie rządzm, jeny o tych książkach.

*Siekiera.* Downi to chociaż pacholcy wieczór szczypy drzyli!

*Gospodzki.* Teraz już szczyp nie trza drzyć, bo momy petryol, a czytani je dobro wiec,

*Siekiera.* Dło daryboków! Przeboczom mi to słowo.

*Gospodzki.* Mie sie to nie chyci, bo jo też nie czytom wiela, jesi jaki cajtunk, bo człowiek nimo wiela czasu. Ale szkoda, bo przez czytani człowiek i rządzić sie nauczy lepszy.

*Siekierzyna.* Isto prawda. Jo to wiążem po moi Zuzie. Jak sie chyci nikiedy z Jędrysem, to bedzie tak pięknie (z akcentem) „po polsku mówić“, żeby to móg w polskij książce wydurkować.

*Siekiera.* Co mi tam po pięknych słowach! Dzisiaj trza mieć pięknie w kapsie, to wszyndzi człowieka uczczą.

*Gospodzki.* Tak, to je prawda, ale w głowie mieć też sie przydo. Tak jak bai nasz pon Pieczonka, on potrefi z każdym porządzić, czy z chłopem, czy z panem.

*Mynarzyk.* (Chrapie z lekka, głowa zwieszona, śpi nadobre.)

*Siekiera* (Do żony.) Idź, budź go, niech jedzie.



*Siekierzyna.* Dej mu pokój, aż ona przydzie ze szatami, pojedą wroz.

*Siekiera.* Coch miół prawić. Pon Pieczonka mo bildunek i wykształceni to prowda, ale je z chłopa syn i tóż sie mi też zdo, czy go notura nie pociągnie do lasa. Jakbych kiedy chcioł gront puścić, abo niedej Boże, rychli umrzył, co myślą, czyby on mój gront przyjon, czy ni? Nie prawil co kiedy, nie napomknął?

*Gospodzki.* Tak to on gospodarny je.

*Siekierzyna.* Cosi usz bai we szporkasie mo?

*Gospodzki.* Jako prawiem, we szporkasie mo szwarny grejcar; na dyć wiedzą. Ale czy on bedzie chcioł iść ku roli... safraporty kany... toch o tej wiecy jeszcze nie rządził snim.

*Siekierzyna.* Dzieci więcej ni momy, musiałoby to iść w cudze ręce.

*Gospodzki.* Spytomy sie go też. (Pukanie.) Gdowie czy prowie nie nadchodzą.

(Wołanie: wolno, prosimy! Wszyscy idą ku drzwiom, Mynarzyk śpi dalej.)

### SCENA TRZECIA.

*Siekierowie, Gospodzki, później Gospodzka, Pieczonka, Zuzanka, Mynarzyk, później Mynarzyca.*

*Zuzanka.* (Pomiejsku ubrana. Wchodząc wesoło :) Tuśmy z wandru!

*Solycytator.* (Ociera pot z czoła.) Takechmy się spocili! Strasznie tam parno na polu.

*Zuzanka.* Ja nie tak bardzo jak on! (Pokazuje palcem za siebie.)

*Gospodzki.* Czemu? Czy nie umioł nic z katesmusa?

*Zuzanka.* Cha, cha, cha! Umiął, ale...

*Solycytator.* Umieć, umiałem... ale człowiek nie przyzwyczajony... zmusiła mnie odpowiadać po polsku... choć umię mówić, jednak mi to trudno przypadało, bom się katechizmu nie uczył w szkole po polsku... tóż jak by mi kołek do ust wbił, ani rusz.

*Zuzanka.* (Śmieje się serdecznie.) Cha, cha. cha! (Wszyscy z wyjątkiem Pieczonki mimowoli śmieją się z nią.)

*Siekierzyna.* Przestoń sie wyszczerzać a statkuj se!

*Gospodzki.* (Widząc, że solycytatorowi ten śmiech niemiły.) Siodają, proszę siodają, panie Pieczonka!

*Siekierzyna.* Tukej ku nom se siednom!

*Siekiera.* (Poznał, że solycytator jest trochę urażony.) Siadają, panie Pieczonka, tu ku mnie mądrzejszemu, jo sie byleczeniu nie śmieję, bo mie to wszycko jedno jakim językiem gdo rządzi, jak jeny mo w kapsie i w głowie, jak to prawią.

*Gospodzki.* Jo też tak dyckt prawiem.

*Pieczonka.* (Udobruchany.) Tak jest. Zresztą, jak pan wie widzicie, umię mówić poprawnie po polsku, bo odkąd na Śląsku nastała ta moda, że każdy lepszy człowiek z dziedziny mówi wszędzie dobrze po polsku...

*Siekiera.* (Obruszony.) Jo usz tam nie chcem noleżeć do tych lepszych; jo se rządź jak mi dziub uros.

*Pieczonka.* Jo zaś wolem rządź po nimiecku, bo to fajniejszy, ale jako prawim, że teraz nikierzy, co chcą uchodzić za lepszych z dziedziny, to już nie rządzą inakszy, jak kany przydą w mieście, jeny dobrze po polsku.

*Zuzanka.* Tak też ma być. A co do tego który język jest fajniejszy, tobym ja się już snimi panie lzydor nie zgodziła; fajniej jest mówić tak, jak tata prawia: jak nam dziób urosł: a nam urosł polski dziób (z akcentem), więc mówmy wszędzie po polsku.

*Solicytator.* (Ślada ku Zuzance.) Nó, nó, nó, jako mi Polka z tej mojej Zuzanki, przecież i ja jestem Polakiem, chociaż nie takim wedle przepisu... muszę se bliży ku ni siednóc, możne od niej lepiej naciągnę!

*Zuzanka.* Nie robią zemnie błozna! (odtrąca go lekko łokciem; Pieczonka wstaje urażony.)

*Gospodzki.* (Chcąc zażegnać pauzę.) Jo zaś je interkancyonał, mie je wszystko jedno, jak sie z kim rozmówim, byle zorobek był, byle goście do mnie przychodzili. Joch je ze wszystkimi zadobre.

*Pieczonka.* (Zbliżając się do Zuzanki.) Wiedzą Znzaneczko, oni majom słuszność, że trzeba dbać o swój język, jabym też nie miał takiego dobrego miejsca, gdybym nie władał dobrze oboma językami. Teraz adwokaci muszą mieć takich urzędników, co umią pisać i mówić w obu językach, bo ludzie chcą mieć protokoły tak napisane, coby je rozumieli. Nawetby sie mi przydało, gdybym więcej języków umiał. (Debata wywołała niesmak, powstaje pauza. Cisza ta budzi Mynarzyka.)

*Mynarzyk.* (Przechwytyjąc czapkę, która mu leci z głowy.) Oha! pr! Każ jedziesz! (Pamięta się.) Dyć to czopka, nie konie!

*Solicytator.* A to cóż za jeden? Cóż to mamrze?

*Zuzanka.* To nasz pacholek, już mo troche pod mycką!

*Mynarzyk.* Rozum mom jeszcze pod mycką; kwit mi już wyfuczoł, boch sie zdrzymnył, a śniło mi sie, zech mioł przewrócić.

*Siekiera.* Je czas jechać! idź już Francku zaprzongej, a nie czakej na babe, bo gdo-wie kie ona przydzie.

*Solicytator.* Niech se jeszcze wypije jedno, pojedzie sie mu wiesielszy. Przyniesą mu panie starosto na moi konto!

*Mynarzyk.* Jo tam wypijem, choćbych przy tem mioł oczy zamrzyć, ale moi zrobiem! (Ostatnie słowa mówi znacząco; nikt tego nie zauważa, tylko solicytator, przecuciem wiedziony, pyta gospodzkiego:)

*Solicytator.* Co on to chce zrobić?

*Gospodzki.* (Wzrusza ramionami.) Nie rozumię.

*Siekiera.* Zrobisz swoi jak wypijesz i pojedziesz.

*Zuzanka.* (Która również zauważyła, że Mynarzyk ma coś na języku, aby go udobruchać.) Zustowcie go tu jeszcze, niech też wiedzą Mynarzyk, że dzisiaj są moi iste roki.

(Podchodzi do niego ze swoją szklanką.) Nacie, wypijcie se też odemnie, niech wiem, że mie macie radzi.

*Mynarzyk.* (Odwraca głowę i sięga po podaną mu szklankę na ślepo.) Miołechcie bardzo rod, ale w tych szlondrach miejskich, to już ni, aż sie zaś po ludzku obleczesz!

*Zuzanka.* W szlondrach! (Śmieje się z musu.) Cha, cha, cha! (Potem się zastanawia i mówi poważnie.) Macie recht, Mynarzyku, jo sie zaś przewlekem jak przydem do domu, to tak jeny w mieście.

*Mynarzyk.* Ani w mieściebych ze siebie błozna nie robił!

*Siekierzyna.* Pódź tu Zuzanko ku stołu, a dej mu pokój, aż wypije, coby jechoł.

*Gospodzki.* Prowiechmy oto przed chwilą mówili, że jeszcze jedna rzecz nima dobrze ujednano. Tóż pon Siekiera chce wiedzieć, że jakby mu trefiło kiedy nieskorszy grunt puścić, czyby oni panie Pieczonka byli gotowi to objąć i czyby też jako tako potrefili gospodarować tem, jako że też są z sielskiego stanu.

*Siekiera.* Gospodarzyć tam każdy potrefi z gotowego, ale żeby też co ugospodarzyć ku temu, to je kunszt. Tak jakoby ty lepsze dzieuchy — ty też sie uczą warzyć i gospodarzyć z gotowego; dyby ich raczy nauczili jak warzyć wtenczas, kiedy nima z czego! Tak też przy groncie gospodarzyć i przygospodarzyć, to je głównie wiec.

*Solicytator.* (Wymijająco.) Dyć to możemy inszy roz o tem pomówić, to nie musi być dzisiaj.

*Siekiera.* Ja, panie Lzydor, na iste roki sie robi kontrak, to darmo.

*Siekierzyna.* Zaś też tak strasznie nie nalygej.

*Siekiera.* Jo też nie nalygom, ale rodbych wiedzieć, jak se to pon Pieczonka przedstawio, bobych sie też zawczasu musioł starać o to, aby grónt puścić w dobre ręce, byłoby mi zół przedać to leda komu.

*Solicytator.* Jeśli mam prawdę powiedzieć, toby sie mi ku roli nie bardzo chciało wrócić, bom sie tego w domu u rodziców najadł, tego harowania od rana do nocy w tej glinie. Cały dzień chodź człowiecze sfifrany jak ceglorz, a tu przecież człowiek choć nie wystawnie, ale po ludzku sie może nosić. A potem by mi chodziło o Zuzankę; ona będzie się lepiej miała przy mnie w mieście, nie będzie miała tyle utropy. Na wsi zdarłaby sie mi za wcześniej przy robocie — a byłoby jej szkoda.

*Mynarzyk.* To isto prawda, szkoda by ji było. (Ciszej.) Dło ciętie.

*Siekierzyna.* W mieście by sie miała lepszy, to usz je prawda, ale roboty sie ona tam nigdzi nie złąknie, bo je do ni zwykło.

*Siekiera.* Za szkłem chowano nima.

*Solicytator.* Zaś też to życie w mieście je trochę weselsze niż na dziedzinie; to tyjater, to koncert, to zaś jaki cyrkus, panoramy i rozmańte rozrywki; człowiek wieczory mile spędzi i te niedziele. Na wsi zawsze jednakowo dokoła. (Niemila pauza.)

*Siekiera.* (Gniewnie.) Na teatry, koncerty, to wom już nie styknie, to wom mogę zaros powiedzieć, żeby i gróntu chybiło!



*Mynarzyk.* A na dzieuche też be trza płacić.

*Solycytator.* (Zaniepokojony.) Co ten tam powiedział?

*Gospodzki.* Na jako pijany, mamrze cosi pod nosem!

*Solycytator.* (Chcąc naprawić co zepsuł.) To sie tak tylko mówi, ale ktoby tam pieniądze na teatry wydawał. Gdybym był chodził po koncertach i teatrach, niebym nie był oszczędził.

*Gospodzki.* To sie rozumie. (Do Zuzanki.) A kandy sie Ónym freliczko lepszy podobo na dziedzinie, czy w mieście?

*Zuzanka.* Nie przezywają mie też, boch jo nima żodno frelka. (Poważnie.) Sama nie wiem. Jak jestem na wsi dłużej, wtenczas wydaje mi się zawsze, że jest w mieście ładniej, gdy znowu przyjadę do miasta, jako nieprzymierzając dziś, jest mi tak markotno między temi murami, że mie aż coś tu stąd precz ciągnie.

*Mynarzyk.* (Do siebie.) Dobry znak.

*Siekiera.* Wiecie, że mie też tak zbiero, jak ech je w mieście; dycki sie mi zdo, że mi usz doma chałupa gore, abo że sie tam jaki nieszczęści robi — a jo tu siedzem.

*Siekierzyna.* (Żegna się.) Panie Boże opar.

*Solycytator.* (Patrząc na Zuzankę.) Jednak, jeżeli sobie Zuzanka tego kiedy będzie życzyć, to ja z przyjemnością wypuszczę pióro z ręki i chycę się pługą.

*Siekierzyna.* (Do męża.) No tóż widzisz stary, nie dobrze tak?

*Siekiera.* (Kiwa głową niedowierzająco.) Dobre, dobre, dyby jeny chciało być dobre!

*Mynarzyk.* Jak ten cygon powiedział: Przez dziure na górze, a szpyrka sem. (Nie zważają na niego.)

*Gospodzka.* (Wchodzi przez środkowe drzwi w głębi. Przez drzwi, które aż do końca aktu pozostają otwarte, widać długi stół, nakryty białym obrusem, w środku stołu wysokie bukiety, stogi kołaczy i owoców.) Pięknie proszę wszystkich do gromady na obiad!

*Gospodzki.* Poczkej jeszcze kapke, nie dowej jeszcze polewki. Coch sie miał spytać, panie Pieczonka! Czy też nie zapomnieli o tem? (Pokazuje na migi okrągło koło palca.)

*Solycytator.* Mam! mam! (Wyciąga pudełko z kieszeni i podaje gospodzkiemu.)

*Gospodzki.* (Wstaje, z miną poważną.) Mili i szanowni goście, wywzocni gazdoszkowie, wroz z jejich nadobną cerą! Otochmy skorzystali z tej waszej tu dziś u nas bytności, jako zechmy se umienili przyjąć was gościnnie w naszych uczciwych progach, bo i tak stary nasz i piękny obyczoj nakazuje. My oto dwa, jo i moja niegorszo połowica, jakoteż i ten tu oto uczciwie obecny pon Pieczonka, witamy was, wiele możni gazdowie, wroz z jejich cerą przekrośną i oto tam widzicie wedle spusu ubiorzony stół, na dowód, że i serca nasze, a w szczególności serce tego tu oto wpierw wymienionego, a o rączkę jejich dorodnej i cnotliwej córki ubiegającego się pana Lzydora Pieczonki, któremu jego zmarłych zastępujemy rodziców (Boże im dej radość wieczną), że te, jako prawim, serca nasze pięknie do was nastrojone są. Otóż w tem nastrojeniu składam jako swat i starosta młodej parze, miłemu żenichowi i kochanej młoduszce z mej strony jakoteż i ze strony rzeczzonej oto mojej żony serdeczne powinszowanie ku temu tak pięknie sie składającemu połączeniu! Oby ten związek, który za trzy niedziele ma

być uczynion przed Panem Bogiem w kościele — szczęśliwy, pomyślny i trwały po wsze pozostawał czasy! Tak to więc, ty przyszła niewiasto i ty przyszły zenichu, kiedyście już na ogłoszki dali i na nauce chrześcijańskiej byli, od dziś dnia someście sobie zaręczeni na ozaist i już teraz po tych istych rokach, które obecnie uroczycie obchodzemy, bez nader ważnych powodów słowa danego złamać ani cofnąć nie możecie. I oto na dowód tych teraz istych już prowdziwie roków jeden drugimu wzajemnie sobie ofiarowane pierścionki zaręczynowe na palce wkładający, niby znak widomy słowa danego przed siebie bierecie i temu to znakowi przed nami świadkami someście winni i przed Panem Bogem wszechwidzącym zawsze i wszędzie wiary dochować.

(Pauza. Narzeczeni biorą pierścionki i wkładają sobie wzajemnie na palce. Słychać cichy płacz kobiet. Mynarzyk wstaje i przeciera oczy, jakby we śnie, orientuje się przemocą w sytuacji, widać, że jakieś postanowienie w nim dojrzewa.)

A teraz jeszcze, starym zwyczajem, na dowód, że związek wasz i w sercach zapieczętowan jest tu pierszy roz przed ludźmi miłosny sobie dacie wzajem pocałunek. (Narieczony bierze Zuzankę za rękę, ona ociąga się i odwraca twarz — w tem — ostatecznie zdecydowany, nadbiega Mynarzyk i staje pomiędzy nich.)

*Mynarzyk.* (Spokojnie, ale dobitnie i z przekąsem.) Pocałują se jejich szwadlene, precz tu od porządnej dzieuchy sielskiej! (Na chwilę mierzą się wzrokiem ze solicytorem. Nagle solicytator odrząca go brutalnie, tak, że Mynarzyk z głośnym jękiem pada na wznak i pozostaje bez ruchu.)

*Wszyscy.* Jezus Marya! (Kobiety załamują ręce, mężczyźni idą Mynarzykowi na pomoc. Solicytator stoi na chwilę nieruchomy, potem zrywa się nagle, rzuca pierścień na stoł, który niepostrzeżnie stacza się na ziemię, chwyta szybko za kapelusz i ucieka.)

*Siekiera.* (Podtrzymując z gospodzkim Mynarzyka.) Zemdła! Wody, wody!

*Gospodzka.* (Odchodzi.) Zaros poszlę.

*Gospodzki.* (Widząc, że Pieczonka ucieka, puszcza Mynarzyka i biegnie za nim.) Herr Pieczonka, bleibens! machens keine Dummheiten! Wohin? Dyć doczkają, wrócą sie Herr Pieczonka! Cóż to ma być? (Wybiega, za nim jeszcze z poza drzwi, słysząc nawoływania Herr Pieczonka, Herr Pieczonka...)

*Siekierzyna.* Panie Jezu Chryste co sie to robi? Co to mo wszystko znaczyć?

*Siekiera.* Jo sie tam domyślom, co to je.

*Zuzanka.* To nie może być prawda. (Płacze).

*Siekierzyna.* Ale co?

*Siekiera.* Że Pieczonka kansi z jakąsikej szwadleną dzierzý.

*Mynarzyk.* (Przychodząc do siebie, cicho:) A dzierzý!

*Siekiera.* Skąd to wiesz?

*Mynarzyk.* Moja staro wie.

*Siekiera.* (Do żony.) Kaj je Mynarzyca?

*Siekierzyna.* Poszła po wałaski strój Zuzanczyn i jak ji nima, tak ji nima. Jużby tu powinna być?

*Mynarzyk.* Już idzie, pojadymy!

## SCENA CZWARTA.

*Siekierowie, później Gospodczy. Mynarzycy, Zuzanka.*

*Mynarzyca.* (Kładzie węzeł na stole.) Tu są szaty! (Zauważa oziębłość, rozgląda się, idzie ku Mynarzykowi.) Na tobie kigo grzecha się stało? Cóżes taki błądy chłopie? Jezu Chryste, na cóżeście wszyscy tacy jak oparzeni? (Do Zuzanki.) Czy też mój nie rzek co obraźliwego?

*Zuzanka.* (Wycierając oczy, kiwa głową, że tak.)

*Mynarzyca.* (Zaciska pięści i grozi Mynarzykowi pod nosem.) Jakes też co zepsuł, to se pamiętej, że cie każdy dzień bedem melszowała ty niezdaro!

*Mynarzyk.* A jużci. Nicech nie zepsuł, jenych naprawił. (Wstaje ociężale). Gazdo, idę zaprzongać. (Odchodzi.)

*Siekiera.* (Ostro.) Idź do stodjobłów. (Wchodzi gospodzki z żoną.)

*Gospodzki.* (Wchodząc.) Obraził się, poszeł i nima go.

*Gospodzka.* Na coh teraz tej wody przyniosła, kie ten już idzie?

*Gospodzki.* (Pokazując za Mynarzykiem.) Ten temu wszystkimu winien, to musi być jakisi zły człowiek. Skąd się mu naroz ta potwarz wziena?

*Zuzanka.* Tóż to jednak nima prawda?

*Gospodzka i Mynarzyca.* (Równocześnie.) Ale kataćteżtam, to plotki!

*Zuzanka.* (Do Mynarzycy.) Dyc wy nic nie wiecie, co zaszło, boście tu nie byli.

*Mynarzyca.* Domyślom się.

*Siekierzyna.* (Do męża.) No tóż widzisz. Taki to ten twój wychwalany Mynarzyk. On się ci teraz odpłacił za to, że ty snim za pan brat postępujesz. Joch hnet widziała, że się cosi święci, jak on jeny koniecznie chcioł snami jechać, choć insze razy raczy pogonicza wysturkuje. Jo wiem, komu on chce na zgódź zrobić! Ale się źle wybroł.

*Mynarzyca.* Stodjobelnik jeden z tym Jędrysem.

*Siekiera.* (Do kobiet.) Cicho o tem teraz! (Do gospodzkiego, który tymczasem ustawia powywracane stołki.) Powiedzą panoczku z ręką na sercu, je co na tem?

*Gospodzki.* Jezdech człowiek uczciwy, spuszcza się na moi słowo, że nic nie wiem. (Do żony ostro.) Czy ty co wiesz?

*Gospodzka.* Joch też o niczem nie słyszała.

*Zuzanka.* Ale Mynarzyk powiedział, że Mynarzyca wie.

*Mynarzyca.* Na wszystko się zaklinom, że nic nie wiem.

*Zuzanka.* Niech Mynarzyk powie, zawołam go.

*Gospodzki.* (Wstrzymuje Zuzankę.) Zustanom tu freliczko, co tam taki pijany człowiek wie. (Zuzanka wychodzi energicznie. Pauza. Mynarzyca zajmuje pozycję naprzeciw drzwi za tyłami innych.)

*Siekiera.* Wszystko jak wszystko, ale jedno mi je dziwne, że Pieczonka tak nagle uciek. Przeca i on musioł poznać, że Mynarzyk je pijany.



*Siekierzyna.* To je isto prawda. On już musioł nimieć ani dobrej wóli, ani dobrego sumienio.

*Gospodzki.* Kataćteżtam. On jest człowiek wykształcony i ma swój honor bardzo delikatny, tóż wolał odejść; aż sie sprawa sama wyświetli, to przydzie, a że mo dobre serce, to wszystko zapomni.

*Zuzanka.* (Wraca smutna.) Mynarzyk już tu nie chce iść.

*Siekierzyna.* Na cóż prawil?

*Zuzanka.* Że to jest tasama szwaczka, która mi te szróty oto szyła. Już ja teraz wszystko pojmuję! Nie nadarmoch tam widziała dwie piastonki! (Płacze.) A to wszystko opowiadali pani gospodzka Mynarzyczce, Mynarzyk to słyszał. Teraz tu nie chce iść, bo prawi że baby zapierają.

*Gospodzki.* (Wściekły.) Cóż ty na to staro? Teraz rządz, czy możesz co powiedzieć na pana Pieczonkę! (Bije pięścią o stół.)

*Gospodzka.* Nie trzaskaj tu nic, bo sie to nie naprawi! Jo jeny mogę tela powiedzieć, zechmy tu rządziły o jednej dzieusze, alech o Pieczonce nie spominała nic.

*Gospodzki.* Ja chyba że tak! Bo też przeca nima co złego o nim powiedzieć!

*Mynarzyca.* To była rzecz o inszym, ten istny już umrzył, a ten przemierzył mój pijok cosi podsłyszol i na pana Pieczonke to obrócił.

*Zuzanka.* (Kładzie kapelusz na głowę.) Pójdę zaraz do tej szwaczki i dowię się wszystkiego.

*Siekierzyna.* Siodej, ani się nie rusz! Głupio, sądzisz, że ci tam prawde oto tak na talerzu podają! Jeszcze więcej narobisz kłopotu.

*Siekiera.* (Łagodnie.) Zostaw to Zuzanko nom starszym.

*Zuzanka.* (Zdejmuje znowu kapelusz przyczem śpilka spada jej na ziemię. Podnosząc ją, znajduje rzucony przez Pieczonkę pierścień.) A to co? Mamulko, to jest pierścionek zaręczynowy, cochmy Pieczonce dali! Tu go pochynyl i uciek! Teraz już we wszystko wierzę. (Ściąga swój pierścionek i daje gospodzkemu.) Tu ma Pan, niech mu to Pan odda i niech mu Pan powie, że jest człowiek fałszywy i zły i że będzie miał wieczny grzech, bo ze mnie porządnej dzieuchy błozna robił. Och jaka ze mnie głupia dziewczyna! (Siada ku matce i szłocha na jej ramieniu.)

*Gospodzki.* Ale freliczko, nie robią też tego, to onemu isto ten pierścionek spod z palca jak sie oblekoł, bo mu był wielki.

*Mynarzyca.* Joch widziała jak mu spod!

*Zuzanka.* Łżecie, bo was tu nie było! (Mynarzyca łapie się za wargi.)

*Siekierzyna.* (Głaszcze ją.) Nie płacz, dziewczce, to się może wszystko naprawić. (Zuzanka chodzi po scenie i wychodzi nieznacznie.)

*Siekiera.* Choćby się i nie naprawiło, to jeszcze też o tela nima nic! My tu zrobimy porządek, jak sie patrzy.

*Gospodzki.* Tak jest. My tu wszystko sporządzemy i załagodzemy. Jo oto skoczę po niego, szak to niedaleczko, on tu przydzie i bedzie hnet dorządek, jako co. (Odchodzi bocznemi drzwiami.)

*Siekierzyna.* Dobrze, przykludzą go! (Do Mynarzycy.) Ty Marysio, idź tam za tą dzieuchą, bo kańsi poszła, aż mi nie odejdzie. (Mynarzycza wychodzi.)

*Gospodzka.* Bać, anich nie widziała, jak wyszła. Ale pójdą teraz gazdowie na obiad bo sie zepsuje. O głodzie tu nie bedemy siedzieć. Jak przydzie mój z Pieczonką, siedną też, humory wrócą i wszystko to jakosi bedzie!

*Siekiera.* O dziękuję, jobych teraz nic nie przełknył. Mom od tego wszyckiego taki zóładek, jakby mi go zasuszyło.

*Siekierzyna.* Żoł mi ich bardzo, że sie dzisio na darmo tropili, nimiało to być... już je po istych rokach.

#### SCENA PIĄTA.

*Siekierowie, Gospodzka, Mynarzycza, później Gospodzki.*

*Mynarzycza.* (Wpada zdyszana.)

*Wszyscy.* Co jest? Co się stało? Rządźcie, co to jest?

*Mynarzycza.* (Trzyma się za płuca z obu boków.) Myna—Myna—narzyk już pojechał!

*Siekiera.* I coś więcej? Dyć tak miał kozane.

*Mynarzycza.* Ja, ale oto moigo pinkla nie wzion ze sobą! Teraz bedem musiała te wałaski lonty smyczyć pieszo do chałupy! Niż sie zaszmatlem, to słońce zońdzie.

*Siekierzyna.* A czemużeście nie wołali na niego?

*Mynarzycza.* Leciałach, wołałach, aż ludzie na hólidy stowali! On sie oglądoł, ale jak mie zezdrzył, to jeszcze bardzy konie podcion.

*Siekierzyna.* Zuzanka ci pomoże nieść.

*Mynarzycza.* Ja Zuzanka! Ta pojechała snim!

*Wszyscy.* Co? co? Śnim?

*Mynarzycza.* Śnim. (Pauza.)

*Gospodzka.* (Pierwsza nieśmiała.) Ale to odważyte dziewczce.

*Siekiera.* Dom ji odważytość, jak przydem do domu! Zerznę karwaczem z wyrchu do dołu, jak chłopca! (Ostro.) A widzicie ją, to je mores, to je posłuszno dzieucha! (Do żony.) Ale toś ty ją tak tem pieśczeniem nauczyła, te twoją cerkę! Mosz teraz spuroka. Teraz pon Pieczonka przydzie, dzieuchy nima. Co tu bedem robił? Pójdę do domu i basta! (Bierze czapkę.)

*Siekierzyna.* (Z przekąsem.) Idź, idź, leć! Na dyć sie zoden bardzy śnią nie pieścił jak ty! Jakech kiedy palec na nią położyła to hnet na mnie wyjechał, a teraz by to na mnie wszycko sfalił. (Do kobiet.) To on ją tak zepsuł, bo ji na wszycko pozwalowoł. Za kim dycki dziewczce zwoniło, jeny za nim? Kandy sie ruszył, tam ona za nim. A teraz tu na mnie! Na nima cie gańba? (Pauza.)

*Siekiera.* (Odkłada znowu spokojnie kij i czapkę, udobruchany.) Teraz sie nimom czasu stobom jeszczeć, ani spierać, gdo je winien. Dzieuchy nima i koniec. Teraz rodzcie, co dali!

*Gospodzka.* Tak, to je najgłówniejsze. Co dali?

*Siekierzyna.* Dyby choć tego pierścionka nie był przychynił, toby ona nie była uciekła i byłoby się jeszcze coś dało zrobić; ale tak, to się dzieucha nie udo-brucho.

*Siekiera.* Mniejszo o pierścionek, dyby jeny Pieczonka nie był zaros uciek, byłoby się wszystko dało naprawić.

*Mynarzyca.* Ja, to je isto prawda, dyby pon Pieczonka nie byli poszli...

*Gospodzki.* (Wchodzi sam, ociera pot z czoła. Pauza.) Tuch je.

*Gospodzka.* Na cóż? Przydzie?

*Gospodzki.* Nima go doma. Poszeł, a doma kozoł powiedzieć, że jakbych go hledoł, coby mi powiedzieli, że on mie i panu Siekierowi o tej sprawie napisze i wszystko będzie dobre.

*Mynarzyca.* (Jak echo.) I wszystko be dobre.

*Siekierzyna.* Jo też mom w Bogu nadzieje, że to będzie zaś wszystko dobre.

*Gospodzka.* No tóż pódźmy już teraz jeść, bo się wszystko jedzeni do krzty zepsuje!

*Siekiera.* No tóż pódźmy, staro, możne zanim zjemy, to to pismo przydzie!

*Gospodzki.* I pisorz też. (Gospodzki bierze grzecznie Siekierową pod pachę, gospodzka Siekierę pociska za ramię. Wchodzą do otwartego pokoju, tam siadają z ceremoniami. Drzwi się zamykają.)

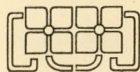
*Mynarzyca.* A jo mogę palce oblizować! Pójdę do domu po suchu. Ale ten pinkiel! Bodej by go ziemia połkła, tego djobligo Mynarzyka, że odjechał. Poczkej ty stary grzybie! Ostatni włosiska ci z głowy powyrywom, trzy dni ci żrać nie dom!

*Gospodzka.* (Wychyla się z bocznych drzwi) Pódźcie też do kuchynie co zjeść!

*Mynarzyca.* (Pośpiesznie.) Dobrze, dobrze. Jak by już to tak musiało być... nale dyć se nie robią szkody...

*Kurtyna spada.*

Koniec aktu drugiego.



Popiołek Franciszek.

## TESTAMENT PROBOSZCZA Z LESZNEJ.

Ponieważ śmierć czeka każdego, a godzina śmierci niepewna, nie chcąc zaniedbać tego, com powinien uczynić, zwłaszcza że grozi mi wyraźne niebezpieczeństwo śmierci, bo jestem znękany, pobity, poraniony i złupiony przez zbójców, postanowiłem wcześniej rozporządzić moją duszą i moimi rzeczami,

których zebrać ze sobą nie mogę, aby ich użyć na chwałę Bożą i zbawienie mojej duszy.

A zatem, zdrow na umyśle i zupełnie przytomny, chociaż osłabiony na ciele, po dokładnej rozwadze, rozporządzam nieodwołalnie mną i moimi rzeczami w następujący sposób:



1. Życie moje, które mi wkrótce będzie zabrane, ofiaruję Panu memu, Jezusowi Chrystusowi, który swoje życie oddał za mnie. 2. Duszę moją polecam memu Aniołowi stróżowi i św. Michałowi Archaniołowi, aby ją zanieśli przed oblicze Boga i oddali temu, który ją stworzył. 3. Ciało moje powierzam robakom, aby je prędko zamieniły w ziemię, z której powstało. 4. Obronę moją przed szczegółowym sądem powierzam adwokatom, opiekunom i obrońcom moim, a mianowicie przede wszystkim Panu memu Jezusowi Chrystusowi, Zbawcy i Odkupicielowi memu, Najśw. Maryi Pannie, św. Andrzejowi, św. Norbertowi, którym się zwykle w życiu mojem polecałem. Następnie proszę wszystkich, których obraziłem, o przebaczenie, a ja nawzajem przebaczam wszystkim z całego serca, nawet tym złoczyńcom, którzy mię chcieli życia pozbawić. Proszę także wszystkich, szczególnie duchownych, aby po mojej śmierci modlili się za moją duszę, bym mógł wnet przejść do życia szczęśliwego i nieśmiertelnego. 5. Majątkiem moim tak chcę rozporządzić, aby cały był obrócony na chwałę Boga, który mi go dał. Ponieważ zaś nie mam żadnych krewnych, zapisuję kościołowi wrocławskiemu 1 złotego. 6. Dla domu ubogich księży emerytów w Nysie 1 zł. 7. 600 złotych, które mi winien Cieszyn, zapisuję dla duchownego w kościele szpitalnym przy bramie frysztackiej, który będzie od nich pobierał procent i za to odprawi 6 mszy w roku. 8. Temu samemu szpitalowi zapisuję także kielich srebrny, który jest moją własnością. Wolę tę moją stwierdzam własnoręcznym podpisem.

Pisałem w Cieszynie, w łaźni, przy pomocy łaźniarza. 25. paźdź. 1668. \*)

Andrzej Sylvanus.

Zakład, na który proboszcz zapisał znacznie większą kwotę, nie był to szpital w dzisiejszym znaczeniu słowa. O opiece

lekarskiej, o pielęgnowaniu odpowiedniem chorych nie było mowy w owych czasach. Był to tylko przytułek, w którym ubodzy, niezdolni do pracy, mieszczenie cieszyńscy mogli znaleźć na starość schronienie i utrzymanie. Nadzór nad nim sprawowała rada miejska, która wyznaczała osobnego zarządcę, a nadto duchowny przy kościele św. Jerzego, obok którego zakład się znajdował. Główną podstawę finansową tego zakładu stanowiła fundacja Jana Scholca z Bobrówki, mieszczanina krakowskiego. Ten zapisał na to 200 złotych węgierskich. Za te pieniądze kupił magistrat od Henryka Czela z Czechowic wieś Boguszowice, ze wszystkiem, co do niej należało po obu brzegach Olzy. Dochody z niej pobierał odtąd zarządca szpitala, lecz z nich dawał duchownemu co roku 13 zł., 6 miar zboża na chleb i drzewo do kuchni i na opał. Za to ten był obowiązany odprawić co tydzień dwie msze.

Drugi większy zapis zawdzięcza zakład Adamowi Wacławowi hr. na Tenczynie, właścicielowi Roja, Końskiej, Zamarsk, Kostkowic i Bobrku, który był cesarskim tajnym radcą i namiestnikiem Księstwa Cieszyńskiego. Rozporządzeniem swoim (29. września 1721) oddaje on na cześć i chwałę Bogu Wszechmogącemu, dla pomnożenia bliźnim, szczególnie zaś biednym, cierpiącym i spracowanym ludziom — magistratowi cieszyńskiemu, jako opiekunowi szpitala, 8 zagonów pola z folwarku bobreckiego. Do tego przydaje pewną ilość zboża, 2 fury siana i 3 krowy, które zarządca będzie otrzymywał z jego dóbr co roku. To wszystko ma iść na utrzymanie 3 żebraków, płci męskiej lub żeńskiej. Pierwszeństwo będą mieć poddani z jego wsi; w braku tych zajmą ich miejsca inni. Dla nich zbije się z desek 3 izdebki, a oprócz tego co 3 lata będą otrzymywać od niego i jego spadkobierców po płaszczu sukiennym.

\*) Testament jest spisany po łacinie.

Pierwszych 3 żebraków wyznaczy on sam, potem będzie ich mianował magistrat. Przy końcu aktu fundacyjnego wyraża hr. Tenczyński nadzieję, że magistrat przyjmie ten zapis, a Bóg wynagrodzi mu tę troskliwość o biednych, cierpiących, nieszczęśliwych żebraków w życiu teraźniejszym i przyszłym. Podpisali ten akt jako świadkowie ze szlachty: Larisz, dwaj Skrbeńscy, Lhocki, Januszowski i Smelin; w imieniu gminy, która przyjęła zapis, rada miejska, ławnicy i starszyzna cechowa. Do szpitala tego należał także folwark Winoград, kilka łąk i ogrodów. Chłopi z Boguszowic płacili czynsz w pieniądzach, dawali co roku pewną ilość kur i po kilka kóp jaj, a nadto obrabiali inne grunta szpitalne.

Gospodarka tym funduszem była fatalna. Magistrat wydierżawiał dochody z posiadłości osobie jakiejś zaufanej lub nawet komuś z pośród siebie. Wychodziło to na szkodę ogólną. Dzierżawca starał się wyciągnąć jak największą korzyść, a wydać jak najmniej. Podatków na rzecz gminy nie płacił, chłopów uciskał, narzucając im coraz cięższą robociznę, o szpital nie dbał zupełnie. Zamiast 16 ludzi, jak był obowiązany, utrzymywał w nim znacznie mniej, nawet połowę tylko. Zamiast przepisanego wikt — mięso 2 razy w tygodniu po pół funta, pewnej ilości grochu, bobu, maki pszennej — dostawali szpital-

nicy o wiele mniej i w gorszej jakości. Skargi ich częste nie pomagały, bo magistrat był interesowany. Dzielił się korzyściami z dzierżawcą. Za ubogich, którzy nie byli w szpitalu, choć tam mieli być, kazał sobie płacić dzierżawcy. Im mniej ich zatem było na utrzymaniu, czyli im mniej przytułek spełniał swoje przeznaczenie, tem większa korzyść dla magistratu, który ten dochód rozdzielał między siebie. Ubodzy waleśali się po mieście, naprzykrzając się publiczności, zamiast mieć schronienie w szpitalu. Fundusz marnowany zmniejszał się coraz bardziej. Wreszcie znaleziono ratunek w powiększeniu dochodu z wyszynku wódki, który przysługiwał szpitalowi.

Właściwy szpital założył dopiero Adam Borek, właściciel Wędryni i Grodziszcz (r. 1694). Pragnął on gorąco, żeby Bracia Miłosierni, którym zapisywał swe posiadłości, utworzyli szpital we Wędryni, w jego domu, z tem zastrzeżeniem, że poddani z jego wsi będą w nim mieli pierwszeństwo. Nie chciał, żeby — jak mówił — owoce jego 36-letniej krwawej pracy wyszły na pożytek miastu. Sądził, że miasta są dosyć bogate, więc powinny się same starać o siebie. Później jednak, ponieważ żądano tego od niego, zgodził się na sprzedanie obu wsi i założenia szpitala w Cieszynie.



*Jan Szurowacki.*

#### NA ZŁĄ NUTĘ.

Coś z tym chłopcem zrobić trzeba  
— Mówił Grzegorz do swej żony —  
Bo kawałek jakiś chleba  
Mu konieczny. Miliony  
W spadku mu nie pozostaną.  
Sił do pługa mu nie staje.  
Do kupiectwa trzeba daną  
Mieć obrotność, obyczaję

Dobre, pańskie. Do rzemiosła?  
Dziś już wcale nie popłaca.  
Czyż mi igła co przyniosła,  
Choć to nudna, żmudna praca?  
Nic innego nie zostało —  
Chyba do szkół? Niech już będzie,  
Choć zdolności trochę mało!  
Uczonemu dobrze wszędzie.

## NASZA BRONĲ.

Wróg zacięą wydał wojnę.  
Liczne jego szyki zbrojne,  
Miecze jego z twardej stali.  
Wzywa, byśmy się poddali,  
Ziemię, język porzucili  
I sługami jego byli.  
Co zrobimy? Wolim bój,  
Bo w nas siła, bo nas rój!  
Będziem bronić ziemi naszej,

Nie porzucim mowy laszej!  
Dopomoże nam w tem Bóg!  
Chociaż liczny, srogi wróg,  
Padnie, bo się otoczymy murem  
Silnym — murem zgody — poza którym  
Miłość bratnia bronią władać będzie.  
Gdzie jej nie brak, zwyciężano wszędzie,  
Byle z wiarą była połączona.  
Broń potrójna zwycięstwa dokona!



E. Grim.

## BO PRZYSIĘA.

(Oparte na prawdziwym zdarzeniu.)

Był to posępny, dżdżysty dzień jesienny...

Gruba mgła osiadła na szczytach gór i ogromem białego płaszcza spowiła okoliczne doliny, grzebiąc lasy, łąki i sioła.

Wokoło było ponuro i smutno...

Cała natura, pogrążona w jakiejś półsennej i ocieężalej ospałości, oddychała ciężko po trudach znojnego lata. Smutna skarżyła się, że ją ogołocono z brzemiennej pełni owoców i zostawiono tylko sterzące szkielety. Drobne perełki deszczu, niby łzy splekanego nieba, sączyły się i spadały wolno, jakby od niechcenia z cieniem posępnej toni chmur...

Jakieś beznadziejne i bezkształtne oczekiwanie i tęskne przeczucie zawisło nad obumarłą ziemią. Ruch i życie uleciały z niej, a cisza rozpostarła dookoła swe nie-  
mie ramiona.

W taki to posępny dzień siedziała Hania przy otwartem oknie; właśnie co wróciła z kazania.

Siedziała i zapatrzona w mglistą dał, rozmyślała nad słowami księdza proboszcza, który mówił: porzucisz ojca, porzucisz matkę, porzucisz wszystko i pójdziesz

za tym, którego pokochasz i pojmiesz za męża, a będziesz mu wierna i posłuszną.

I ona kochała...

Pokochała bowiem pierwszą miłością niewinnego serca Janka, syna zamożnego siodlaka z sąsiedniej wsi.

Żywo stanęła przed jej oczyma chwila, kiedy po raz pierwszy wyznała mu, że go kocha; gdy wymawiała słowa: „kocham cię“, rumieniec oblał już i tak różowe jej policzki... takim rumieńcem musiała spłonąć i Ewa, gdy jadła z zakazanego drzewa. Słowa: „kocham cię“ nie chciały jej przejść przez gardło, bała się, a zarazem pożądała usłyszeć, że kocha i jest kochaną. Bo cóż może być dla dziewczyny ponętniejszego nad tę świadomość; taka to już natura kobieca...

Ale Hania mówiła prawdę, a nie jak miejskie dziewczyny, które i po sto razy powtarzają „kocham“, a każdy raz kłamią i oszukują; jej miłość była czysta i niezgłębiona, jak woda bezdenne go źródła; ona pokochała Janka ognistą miłością, która nie zna żadnych przeszkód i zapór; dla takiej miłości niemasz innego wyjścia, jak tylko: albo kochać, albo nie żyć.

Takie myśli i wspomnienia płynęły przed nią, jak bujna, swawoląca rzeka i



wywołały na jej policzkach gryzące wypieki, kraszając usta uśmiechem; raz puszczając w bieg, bujały dalej, a ona, przymknawszy oczy, oddała się im w zupełności. Widziała, jak z Jankiem klęczała u kolan rodziców, a ci błogosławili im, widziała, jak ich ksiądz proboszcz łączył u ołtarza, widziała, jak później żyli w zgodzie i miłości. Myśli jej byłyby biegły dalej, a ona może powędrowałaby była na ich skrzydłach aż nad wspólny grób, gdyby nie wejście ojca i matki; oni przerwali jej ten złoty słab marzeń...

Zmieszana zerwała się z siedzenia i z biciem serca i natężoną uwagą wyczekiwała, co ojciec powie; wczoraj bowiem oświadczył się Janek o jej rękę.

Najpierw weszła matka i usiadła na krześle, a potem ojciec zbliżył się do niej i kładąc swą spracowaną prawicę na jej ramieniu, przemówił:

Wiesz, drogie dziecko, że wczoraj przyszedł Janek prosić o twoją rękę; my z matką powiedzieliśmy mu, że to jedynie od ciebie zależy; znasz go od nas lepiej, zostawiamy ci wolną rękę: rób, jak chcesz.

Hania zakłopotana nie odpowiedziała nic i tylko, utkwivszy wzrok w ziemi, siedziała ruchy końca bucika, którym kreśliła różne figury na podłodze; rumieniec obiewał coraz ciemniejszą purpurą jej pulchne policzki; zdawało się, że krew lada chwila tryśnie z pod skóry.

Ojciec, widząc jej zakłopotanie, ciągnął dalej:

Ale pomnij, Haniu, wprzód, nim się odważysz na krok tak stanowczy, z jakiej on pochodzi rodziny; bracia zmarnowali już cały majątek, odziedziczony po ojcach... On wprowadzi ma teraz grosza poddostatkiem, ale później, kto wie... Pomnij, że to nie będzie tylko na kilka chwil, ale na zawsze; że na całe życie łączysz się z człowiekiem, który budzi w nas pewien niepokój i podejrzenie; wiesz, że tylko twoje dobro leży nam na sercu...

A gdy i teraz jeszcze nie otrzymał żadnej odpowiedzi, zwrócił się do niej wprost z pytaniem:

A więc, droga Haniu, czyś sobie już stale i niezbicie postanowiła wyjść za Janka?

Na te słowa złożyła Hania swe ręce jakby do modlitwy i zawołała z nieutajonym zapałem:

Tak, drogi tatusiu; moje szczęście leży tylko w małżeństwie z Jankiem. Ale nie lękajcie się tatusiu, nie bójcie się matko, on nie będzie taki, jak wy sądzicie; on taki dobry, onby mi krzywdy najmniejszej nie wyrządził i nie dał wyrządzić, on każdego mojego słowa usłucha. Że jego bracia tacy, to on temu nie winien; on będzie lepszym od nich, sam mi to powiedział; ja go znam...

I byłaby może dalej szczebiotała, wychwalając wymarzone zalety i przynioły Janka, gdyby jej nie była przerwała matka.

Siedziała ona długo spokojnie, zasłuchana w słowa córki i tylko od czasu do czasu skinęła głową na znak, że się z nią zgadza, a wreszcie odezwała się:

Daj Boże, Haniu, by tak było, tak mówisz, ale jemu jakoś źle z oczu patrzy, wprowadzi to czasem zawodzi, ale po większej części świadczy o złej i rogatej duszy człowieka. Także nie podoba mi się jego czoło, bo ilekroć coś mu się nie podoba, to zaraz marszczy się i chmurzy, aż strach patrzeć.

Hania znów stała zakłopotana i nie śmiała na matkę podnieść oczu, bo nie miała na jej słowa żadnej obronnej odpowiedzi. Wierzyła święcie, że Janek będzie dobrym, bo on jej to sam powiedział, malując w różowych barwach ich przyszłe pożycie; ale na to nie miała żadnych dowodów, bo to wszystko leżało w niepewnej przyszłości. Wprowadzie i w jej duszy odzywały się głosy: „a może... a może”, ale jej serce kochające tłumilo je, ono widziało tylko samo szczęście. Dla Hani najważniejszym dowodem było to, że Janek sam jej powiedział, że ją będzie kochał i że będzie dobrym, a to jej wystarczyło; wierzyła w to święcie...

Nastąpiła dłuższa chwila wyczekiwania.

Wreszcie ojciec przerwał to kłopotliwe milczenie:

Jeżeli to już, drogie dziecko, two stałe przedsięwzięcie wyjść za Janka, to bądź pewną, że my nie będziemy stawiali ci w drodze do szczęścia; chcieliśmy cię przestrziedz i wypróbować twą wolę, czy ty rzeczywiście wierzysz w two przyszłe szczęście z Jankiem. Bo widzisz, droga Haniu, mamy powód niepokoienia się o naszą ojcowiznę. Ty jesteś jedyną naszą pociechą na starość, tobie oddamy cały majątek, a więc nam bardzo na tem zależy, by się nie dostał po naszej śmierci w ręce cudze, a co nie daj Boże, w ręce żydowskie. Ty wiesz, jak bardzo kocham ten kawał ziemi, tę jedyną spuściznę po ojcach, która mi ciągle całe ich życie przypomina. Ona, złana ich potem, szemrze mi podmuchami wiatru i poszumem drzew ich dawne piosenki, ich słowa, ich czyny. Więc jeśli by przez jego winę przeszła ta rola w cudze ręce, a co gorsza, w żydowskie, to jabym w grobie nie mógł spokojnie leżeć...

Te słowa tak wzruszyły starego, że ręką zaczął obcierać łzy, spływające mu po policzkach. I Hania i matka miały zapłakane oczy.

Hania pierwsza obtarła je fartuszkem i drżącym, ale pewnym siebie głosem przemówiła:

Tatusiu, do tego nigdy nie przyjdzie; ja przysięgam za niego!

Tu matka strwożona zawoła:

Dziecko, na Boga, nie przysięgaj!

Ale Hania powtórzyła już całkiem spokojnie:

Przysięgam za niego, że nie sprzedam naszej ojcowizny!...

Na polu zerwał się wiatr i zaczął rozpędzać tumany mgły; po chwili widać było ciemne, lasami pokryte stoki gór, po których kłębiła się mgła, nadając im postać dymiących wulkanów, a wiatr wiał ciągle i świstał smutnie i tklawie. Hania, zasłuchana w jego poświsty, słyszała wyraźnie słowa, które ją lekkim przejmowały.

Wiatr szumiał przeciągle: przy-sięgłaś... przy-sięgłaś...

\*

Upłynęło od tych chwil lat czternaście.

Rodzice Hani dawno już pomarli, a umierając, błogosławili godzinie, w której zgodzili się na małżeństwo Hani z Jankiem, bo Janek po ożenku był bardzo porządnym gazdą. Ale po ich śmierci zaczęło się coś psuć w młodym małżeństwie; przyczyną tego był żyd.

Przybył on do wsi jako biedny handlarz „od skórków“...

We wsi zaraz sobie upodobał, bo znalazł tam dużo ludzi, w których upatrzył swe przyszłe ofiary. Jedną z tych ofiar był także i nasz Janek.

Icek, bo tak się żydek nazywał, osiadł stałe we wsi. Otworzył u Janka „handelek“, a po trzech latach odkupił od niego kawał pola i wybudował sobie gospodę; od tej chwili stał się prawdziwą pijawką okolicy.

Janek przesiadywał u niego po całych dniach, zaniedbywał gospodarstwo, które Hania musiała samorącz utrzymywać. Przebiegły żydek usidlił go i wyłudził już na nim rolę, odziedziczoną po ojcach, a obecnie chciał nabyć i ojcowiznę Hani. Ale ta sprzeciwiła się ze wszystkich sił. Janek bił ją za to, bo żyd już mu nie chciał zwierzcać, ale to nic nie pomagało. Jedyną jej skargą i prośbą były słowa: bom przysięgła...

Po takich scenach zabierał Janek wszystko, co mu pod ręce wpadło, a więc poduszki, bieliznę i odzienie Hani i wynosił do Icka, a Icek znowu zwierzał, gościł i częstował... Dziś rankiem zabrał Hani księżeczkę z pocztą, na którą, jako mała dziewczyna, składała darowane przez ojca ceniciki i zapowiedział, że wróci wieczorem z Ickiem po ostatnie słowo.

Biedna Hania nie wiedziała, co robić. Nie poszła w pole do pracy, ale rzuciła stę przed Ukrzyżowanym na kolana, by w modlitwie szukać pociechy i ratunku. Tak kłęzczała aż do wieczora prawie bez ruchu, a



tylko usta jej poruszały się chwilami, wymawiając nieprzytomnie: o Boże, Boże... przysięgam za niego, a teraz?...

Już się zupełnie ściemniło, gdy Hanię doleciał znany głos Janka, rozmawiającego z kimś drugim. Poznała zaraz po głosie, że to był Icek. Chciała uciec, ale już było za późno, bo właśnie co skrzyknęły drzwi sienne. Stała w środku izby i czekała na przybywających; pamięć i świadomość zaczęły ją opuszczać...

Pierwszy wszedł Janek, zataczając się, a za nim Icek. Janek, widząc Hanię w środku izby, wycedził płatającym się językiem:

A...a jesteś? to dobrze... no Icek dawał papiery!

Icek przystąpił do stołu i, szperając po kieszeniach, mówił:

Nu, pani gospodarzowo, jo być dać moc piniądzów, jo być dobry żydek, jo nie chcieć krzywdzić...

Dalsze słowa przerwał mu Janek, który, opadając ciężko na krzesło, bełkotał:

Dawaj, żydzie, papiery, a nie gadaj z babą; ona musi zrobić, jak ja chcę, bo jak nie!...

Tu podniósł pięść i całą siłą grzmotnął w stół.

Icek aż podskoczył ze strachu i wylękły zaczął go uspakajać; podszedł następnie do Hani, która wciąż stała jeszcze w środku izby, chwycił ją za rękę i poprowadził do stołu; ona szła za nim powolnie, nie opierała się.

Icek zaczął jej czytać z różnych papierów: ile da za pole, ile za zabudowania, ile Janek już z tego przepił, ile bierze jako odsetki od długu i tak dalej... Ale ona nie zważała na nic, jakby tego nie rozumiała i nie słyszała... Najpierw Icek coś podpisywał, potem Janek, a wreszcie i jej kazali podpisać jakiś papier; nie chciała usłuchać ani rad Icka, ani grózb Janka, szepcząc tylko ledwie dostłyszalnym głosem: bom przysięgała... bom przysięgała, a gdy Janek porwał się na nią, wyrwała się z rąk żyda i wybiegła z chaty, szepcząc wciąż monotennie: bom przysięgała...  
\*

Księżyc już doszedł prawie połowy nieba, oświecając swem mdławo-matowem światłem urocze brzegi Olzy... Cała natura odpoczywała w półśnie uśpienia, tylko nieustrudzony wicher wiódł dalej swą miłosną rozmowę z konarami i liśćmi nadbrzeżnych drzew i krzaków, kołysząc je poszumem i cichym poświstem...

Nad urwistym brzegiem stanęła postać niewieścia. Stała chwilę nieruchomo, jakby zasłuchana w podmuchy wiatru, a potem rzuciła się w głębinę, jęcząc cicho: bom przysięgała...

Księżyc skrył się za rąbek chmury, by nie patrzeć na to widowisko, a tylko wiatr pochwycił jej ostatnie słowa i szeptał przeciągle: bo przy-sięgła, bo przy-sięgła...

A tam w chacie czekają na nią, kiedy wróci...

Oj nie wróci już, nie wróci!... —



Józef Lebiecznik.

### FATA MORGANA.

Tam puste szlaki... niezmierzone piasku morza...

W nich pielgrzyma grzęźnie krok,

Ciałem na ziemi, duchem uleciał w przestworza,

W górze spoczął mglisty wzrok,

Tam, gdzie białe, poszarpane snują się chmury,

Gdzie się skupia słońca blask,



Gdzie przeczyste na niebie zawisły lazury,  
Purpurowy zorzy brzask.  
Tam w obłokach czarowna widnieje kraina,  
Smukła palma... zieleń drzew,  
Kobiercem trawy nęci... zniknęła pustynia,  
Strumyk szemrze, ptasząt śpiew.  
Odwagi... siły... w dali oaza, zbawienie!  
Dąży naprzód, zdwaja trud,  
Nadzieją krzepi ducha, ugasza pragnienie;  
Pędzi długo... niknie cud!  
„Sił mi braknie... otuchę struły słońca speki,  
O nieszczęsna złudo złud!  
Ja umieram... wkoło piaski... a cel daleki.“

— o o —

### ROZSTANIE.

Na niebie krwawią się wieczorne zorze,  
I coraz ciszej dnia drgają konania,  
I pomrok szary twarz ziemi zasłania;  
A w dali szumi kołysane morze,  
O łód uderza, falą brzegi porze  
I rzewne z głębi dobywa szłochania,  
Jakby odczuło ból, smętność rozstania!  
Och, statek już gotów w drogę, za morze.  
Ach, żegnaj, luba, lecz kochaj niezłomnie,  
Zachowaj wierność i żywe wspomnienie;  
Ach, tęsknić będziem za sobą ogromnie.  
Bądź zdrow, kochany, zgubne morza tchnienie  
Niech cię oszczędzi, myśl, pamiętaj o mnie,  
Aż ci zabłyśną powrotu promienie!



Fedyr.

### JYNDRYS.

Obrazek z włoski podgórskiej.

Żył se roz w jednej dziedzinie stare pastyrzisko, a było mu na miano Jyndrys. Okrom starego kozucha z dziurami, co go nigdy ze siebie niesewlykoł, i czy ato czy zima, dycki w nim chodził — okrom starych nogawic, złotanych na wszyscy końce szmatami, — okrom koszuli czarnej jak dłożka i dziurawych kyrpcisków na

nogach, słomą wycpanych, że wyglądały jakby pomiołta, — nie było nic na tym świecieczku, czemby się chudok Jyndrys mógł pochwolić, że to jego. — Zababrany, zafultany, szpinawy, żeby rzepy na nim mógł nasadzić, bączył się Jyndrys po dziedzinie, od chałupy do chałupy, aby się uchować byle czem, co mu gaździnki z miłosierdzia podały. Wyżebrany ziemnioczek, kapusta, lebo suchy chlebiczek, były jego pożywieniem. Dość, byleby duszyczke w cielisku udziierać. — Jak mu co dali, to skurczył się potem chłopisko kany za piecem w kącie i dusił i ćpoł ziemnioczki za jadra, aż mu oczy na wyrch wyłaziły...

Hrozucnom miał gościne, jak mu się przytrefiło, że mógł kany kości obliżować. Bo mu tam mięsa nigdy nie dali, katać tam; chyba kiedy przy wiesielu, kany go nigdy nie chybiło. Potem też Jyndrys lizoł, lizoł i cyckoł na kości, i młaskoł, że mu aż ślina z gymby się łoła. Gryść chudaczysko już ni mógł, bo zębisków nie było i tóż lizoł i cyckoł. A że miał sumieni czyste i rzetelne, to też nie krod i na złe uczynki nigdy się nie wdował, ani też nigdy jeść za darmo nie myślał. Kany mu dali troche pokarmu, to go chcioł mieć zarobiony. I ciupoł Jyndrys patyki, karkoszki, ciupoł, aż mu się pociczek szczurkiem łoł po czole, po gymbie, a przy tem stynkoł i fuczoł jak jeź z płonkami, bo go już bai i dychaczka tropiła. — Uh!... uh!... aż piszczalo w piersiskach...

A jak przisła noc, to się Jyndrys wyszkroboł czy to na nolepe, czy za piec lebo na ławe. — Spowoł tam, kandy patyki ciupoł, a garce wylizował, bo se też na to zasłużył. Nejlepi to mu się spało we chlywie w coreczku, lebo we żłobie przy krowiczkach, przy cieliczkach. Miał ich on straszecznie rod, bo też one były jego siostrziczkami, braciszkami od malučka. Jako chłopczysko, sierotka biedno, posoł ich Jyndrysek na pastwiskach, na ścierniskach, na drapach i przy nich uros, z nimi żył, do nich gwarził i przymowioł, a krowiczki go rozumiały, cieliczki go rade miały i lizwały po rękach, po gymbie...

A jak se tak Jyndrys leżysko we żłobie wyściyłoł, a krowiczki nań chuchały i go grzoły, to potem śnił... Śniły mu się hańdowane czasy, jako zganiół krowiczki na gromadke, gonił, lotoł, skokoł po krzokach, po kamyczkach, po ściernisku, aż się szłapka zakrwawiła... — Gwiazdula, wróć się!... hoj hoj! Kajż tam idziesz Strokula!... Łysina! idziesz z tej kończyny!... i puk, puk! z bicza... puk... puk...! A gwiazdula i strokula i łysina posłuchły! Jyndrysek się śmiał, gwiazdule pogłoskoł, buczka postawił<sup>1)</sup>, wyskoczył, podskoczył, a z bicza puk!... puk!... Ścioj Ścioj! i bydłatka się paśły, trowiczke szczypały, a Jyndrysek śpiewoł, na piszczółce piskoł, aż się rozlygało do koła po łąkach, po polach, po gróniach. A słoneczko na niebieczku się śmiało, ptozyczki po stromach furkały i z Jyndryskem śpiewały... Tak ci było wiesioło, oj wiesioło... Aż słoneczko ku zachodu zlazło. — Hoj, hoj! do chlywa! Gwiazdula, do chlywa! hoj, hoj!... A gwiazdula posłechła, głowiczkom przikiwała, że aż zwóneczek na karku zazwonił. Zlazła na miedze a za nią: stro-

<sup>1)</sup> Buczka postawić — stanąć na głowie.

kula, łysina, tyrola, czornucha, cielątka, i wjo ku chałupie miedzom, cestom przez potok. — Wody, wody! — wody, wody! Bydlątka głowy spuściły i wodziczki się natuły. A wodziczka się cieszyła, że bydlątka napoiła i skokała i pluskała i biegała po kamyczkach tako czystwiuteńko, a tako czyściuteńko jako ła! —

A Jyndrysek z bicza, puk, puk!... puk... puk...! i przignoł krowiczki do chlywa! — Na swe! — Strokula, na swe! Łańcuchami do koryta przywiązoł, pogłoskoł, pohaloł, a krowiczki mu rade, lizały po ręce, po gymbie, i muu! muu! do niego gwarziły....

— — — — —

Jak się Jyndrys obudził, nimóg się nijako spamiętać. Wycyroł oczyska, do koła się obziyroł i nimóg się nijako poskumać czy mu się to śniło, lebo to istotno prawda. Chcioł wyskoczyć z lygowiska, a tu ani rusz, nieła było nijako się wyszkrobać. Obracoł się, naciągoł, ręką się opyroł, za jasta chytoł, aż się zafuczoł i z bijdom z łóżyska się wygryzmolił.

Poczuł potem Jyndrys, że mu się to jyny śniło i że z niego już stary grzib. Klepeta ledwo, że ich smyczył, ręczyska zwisły, bez mocy, bez siły, ledwo że nimi patyków na norączke naciupać potrefił. A plucka w nim grały, warczały, piszczały jak stare jargany... I zasi dalej na wander, od chałupy do chałupy, bączył się chłopisko po dziedzinie, jak Marek po piekle...

— — — — —

W Karczmie „pod gruszkom“ grała muzyka od kubika!

Jonek Ociypków broł se Jewke Kądzielowom z poza Kępy i mieli wiesieli. A jak je wiesieli, to musi być i muzyka! I tóż drzyli i zwyrtali, że aż drzyzgi z dłoszki leciały!

Że „pod gruszkom“ muzyka, wiedzieli pacholcy, wiedziały dziewczki w całej dziedzinie. To też „niebój się“ jak się z wieczora przy robocie wszyscy zwyrtali! Fik, mik! i już krowy były podojone, prosiacka odbyte, buciory pomyte, izba pieknie zamiecono. — Przegrzeszono muzyka, jak ona umie czarować! —

Ledwo że słoneczko poza gronie zaszło, już też dziewczki do czystych kabotków się nastroiły, fortuszki przyposady, a gymbulki, a włosy — jakby ulizoł, i hajdy ku muzyce! . . .

Prawie się wiesielnicy wybierali do młoduchy na ucztę, a muzykanci wygrowali marsza na odchodnom, kiedy przy karczmie zaczęli się schodzić czakacze. Nazganiało się ich gmyr i tela do izby naprało, że ledwo kapke miejsca zbyło na tańce.

Muzykanci zaczęli grać. Dziewuchy zaś, co stoły przy dwyrzach i koło pieca jak owieczki na kupke uciśnione, czekały i spozierały, czy kiery z pachotków palcem nie kiwnie i do tańca nie pozwie. Ale pacholcy brali jedną po drugi, bo któżby dziepro palcem kiwoł, i drzyli i zwyrtali jak sto czertów, że się dziewczuchom aż spodki dzwigały! Że tam jeden drugigo łokciem żgnół, krąflekem przydeptoł, to nic



o tela! Wyrzgali, nogami tupali, a muzyka grała, a co grać przestało, zaś sie trefił kierysi, co kąsek zapłacił. I tak dycki do okoła! Jedni tańcowali, drudzy w siyni popijali piwo z krygli lub reżnom z kwaretek. Każdy swojom częstował i do ni przymowioł: no Haniczko, dyćysz się napij! dyć to nie trucizna jyny rużówka, nażysz wypij. A Haniczka lizła, lizła, gymbą skrzywiła. — Nożysz, dyć jeszcze. — Niehcem, bo ostre! — Katać ostre, jyny wypij, gymby se tym niewypolisz. — A Haniczka zaś lizła, a co lizła, fortuszkem gymbe utrzyła, i tak furt, aż wypila . . . .

On zaś pięknie ją za kark obłapił, do ucha roztomilej poszeptoł . . . . .  
a dziewczucha hihhi! hihhi! . . . . .

— — — — —  
Muzyki, spiywano, wyrzganio, tupanio, śmiechu, uciechy, było w karczmie jak w piekle! . . . . .  
— — — — —

Pod oknami stoło pachółków — gipczoków z dziesięć.  
— Chłapcy, bedzie praczka!  
— Jakóż wjysz? dyć nima z kim.  
— Nima strachu! Bujoczkowie idom z góry, a za nimi cało zgraja.  
— Moc ich idzie?  
— Z jakich patności. Hadam ich widzioł i przygnoł z nowinom.  
— Trzystanoście, to ci bydzie cosil!  
— Nas je więcej, niedomy sie, namażemy co wlezie!  
— Ale im też domy bobu, pierońszczokom!  
— Sprawimy im hołdomasz, że tydzień bedom mieli po czem stynkać!  
— Jyny chłapcy, miarkujcie se, niezaczynać, aż oni zaczną.  
— To sie wjy, po to oni hewaj idą! Ale potem bić kany padnie, loć za skóre, prać co wlezie! . . . . .

I tak każdy radził, groził, domowioł i pluł do pięści i posek poprawioł, a cieszył się, że Bujoczkowej bandzie portki wytrzepiom. — Bai Francek, pijany jak Pańtok, mioł kurasz. — Bedemy bić, po pyskach prać, aż trzystanoście! Jak kierego chycim, to zębiska wybijem, trzystanoście! — Rękom wywinół, pięściom pogroził, zatoczył sie i maznoł sebow o ziem, aż kości w nim zatrzeszczały! Wszyscy do koła w śmiech, a Francek na ziemi mamroł, mamroł i stowoł. — By cie trzystanoście . . . oha! po malutku . . . prrr! Oprzył się ręką o studnie, nogi mu sie zaplatały i chlas! przez korytko gymbą do kałuże! Zaś śmiech do koła! Okoltany, zlifrany jak prosie, próbował Francek stanyć. Nielza było! Co sie podniós, ciap do błota! Aż mu drudzy pomogli na nogi. Wyciwoł Francek oczy, gymbe i spluwoł. — Bycie trzystanoście kany . . . tfu! . . . tfu! . . . i ledwo zrobił pore kroków, gorzołczyisko szturk nim, zatoczył się i pac! kansi pod okna między beczki. Zdało sie, że czepon rozwalil, bo tak cosi zajynczało. Szli pachółcy zazdrzyć co z Franckem. A Francek sie gryzmolił, wyszkrobać się z poza beczek próbował, a pod nim cosi sapiało, charczało, warczało. . . .

— Hyc go Jozef za nogi! — Wziyni Francka za nogi, za ręce i do szopy zasmyczyli.

— Nic mu nima, krwie nie widać. — Pochynyli i zostawili.

A tu z poza beczek wylazło jakisi chłopisko. W kożuszysku, kudliska na głowie pokuzdrzone, a fuczoł, a dyszoł; wyglądoł jak tyn czorny. —

Pachołcy sie przizdrzyli, co też to za cudoszysko. — Niepoznocie, dyć to Jyndrys! — poznali go. — Isto spodki z beczek zlywo! — Bai że zgodali. Zlywoł Jyndrys spodki z piwa, beczkami przewracoł i zlywoł, zlywoł, aż było pót czopki. A piweczko tak wóniało, że aż śliny w gymbie ściągało! Radowoł sie Jyndrys, że sie pokrzepi i gymbe rozewrził czopke z piwkem nachylił aby sie napić, a tu pac! cosi na niego. —

Jyndrys sie przewrócił, piwo sie wylóło! Nieszczasny pad!

— Na ty Jyndrys, czyżes prziszeł ku muzyce? — Łh, katać tam. — Pachołcy w śmiech.

— Piwa mu sie zachciało i prziszeł na spodki! Kansz go mosz, haw z nim, poczynstuj!

— Eh, kiej mi go wylół. — Pachołcy zasi w śmiych.

— To ten Francek, pierońszczok! Niech teraz koże do krygla, kiej wylół.

— Eh mi tam . . . niehcem! —

— Wjycie chlāpcy, my kożemy Jyndrysowi, niech se roz chłopisko użyje! — Bai tak, do izby z nim. — Jo mu kożem kasek zagrać, coby se i potańcowoł Pachołcy dziepro w śmiych i jak smyczą tak smyczą Jyndrysa do izby. Chudaczysko sie opyroł, żodnem końcem iść niehcioł. — Eh, mi tam . . . dejcie pokój . . . niehcem . . .

Daremne opyrani! Ani sie nie pozdoł, już go w izbie na ławie przy piecu posadzili.

Strachu miół borok pełne galaty, że aż nim dyrbało jak na mrozie. Boł sie, że czechmon wie jak z nim bedom nagrować. Wytrzeszczoł zestraszone oczy, skurczył sie, przycis ku piecu i czakoł, nie wiedzioł som na co . . . Zaś pachołcy i dziywki śmioli sie z chudoka i rozmaicie nań dozygali.

Ale Jurek Kubiców, kieremu do głowy strzeliło, aby Jyndrysa wkludzić do izby i poczynstować go jyny roz odegnoł dożyroczy, a Jyndrysa pocieszoł: — Niebój sie Jyndrys, żodno krziwda ci nie bedzie. Tu se oto siednij za stół, a jydz, a pij, aż sie skulosz pod ławę! Abyś ty roz wiedzioł, że to dzisio wiesieli Jónka Ociypki, co mi Jewke zfuknył z pod ncsa! Był on moim kamratem, ale sie już skończyło. Teraz ty nim bedziesz Jyndrysku, bo wiem, że mi taki gańby niezrobisz. — Postawił przed Jyndrysa kwaretkę gorzały, krygeł piwa, dwie tworuzki, masny rożek i cygar. Potem zwyrtnył sebo, zawjyrzgoł, nogom przycupnył i łap dziewuche pod pazuchy, zaczon z niom wywijać, jak szolony!

Jyndrys zaś zmamlasioł do ostatka. Jak żyje, taki gościny mu jeszcze żoden niesprawiał. Gymbe rozewrził, oczy wywalił, i nie wiedzioł, czego sie pryndzy jąc:

czy tej gorzoleczki, czy tego piweczka, lebo tych tworuzek, co tak krasnie wonialy, az strach!

Muzyka zaś grala, az mu w uszach huczalo, pacholcy-gipczocy dziewczuchami okryncali jak stonaście! Wyrzgali, nogami tupali, a najbardziej Jurek Kubiców! . . .

Naroz przed karczmą zaryczało, jakby ze sto hyrtoni! Wrzasku, pisku, wycio, az hruza! Pocholcy, dziywki hurmem do siyni, aby sie podziwac co sie tez to za dziwy robia na polu. Jyny Jurek Kubica i jego kamraci z izby sie nieginy, szak wiedzieli, ze to Bujoczko banda tak ryczy i czuli, co sie w karczmie bedzie robilo. Jednak po sobie znac nie dali, ze sie do bitki sposobiom, ale muzyce grac kozali i tanczyli z takom uciecha, ze zoden z nich ani niezwozol na zgraje, co sie kupom poczyna prac i cisć do izby.

Tom bande Bujoczko zni zni juz wszyndy. Byla to zgraja zebrano ze samej hołoty. Herszem ich byl Kareł Bujok, nejstarszy z trzech braci, chachar skończony, kiery juz bai odbył sztudacyj na Mjyrowie. Był z niego chłop siodły, krępy, piersiska jak u byka, oczy miod iście zbujecki, pyszysko szromami zeszepecone, zmasarzone, a nosisko skrzywione, w korzeniu rozmiadzone; musiol po nim kiejsi pierónsko oberwac!

Jak sie weprali do izby, tak se tez zacznij poczynac. Obsiedli dlugi stol, a kazdy sie na ławie rozpiyrol, jakby jaki pón. Kozali se dwa pólitry ostrej z rumem, potem wursztu i piwa. Kareł, jak se popil i pojod, stanył rozkroczony przy szynkfisie, cygar se zakurzil i rozgladol sie po izbie, tanczniczkow mustrowol.

Bezmała chciol wysledzić, czy som jacy do bitki, a wiela ich. Naroz sie hersztowi oczy zaiskrzyly! Ujrzol na drugim koncu Jurka Kubice jak prawie dziewczuche broł do tancu.

— Dobre! — pomyslol se, — z tym zacnem! I przecis sie przez dziywki ku przodku a stanył tak, aby go Jurek nimóg w tancu ominyc i sledzil go oczami tak kocur myszy.

Ale Jurek, djosek wie, zamiast sie przyblizyc skryncil z dziewczuchom na postrzodek i karla ominyl. I tak roz, drugi roz i trzeci roz!

Teraz sie Kareł zamroczył i zebiska zacis ze zlosci, ze mu obezglo, co se jak dobrze obmyslil. Chciol sie juz bai cofnyc, aby zlosć kwaretkom zaloć, a tu jurek nie do postrzodka, ale prosciutko ku niemu z dziewczuchom zakrynco. Ledwo go spostrzyg, wartko bokem stanył, łokiec wystawil — a Jurek prask do niego, jakby do buka, a malo sie z dziewczuchom niewywrócił! Ale Jurek nie głupi, wie-dziol czego Kareł chciol po nim, i jakby nic, dali zwyrtol o ducha!

Zdalo sie, ze Kareł puknie ze zlosci! Przeca mu sie na muzykach po teraz dycki powiodlo, ze co do kierego sturzil, to zwada powstala, a ze zwady praczka, jego najmilejszo uciecha! A tu tyn hrómski Jura, ani sie nieodezwol! I zaklnyl straszecznie, na zymbach zazgrzitol, przebil sie ku stolu i chycil za krygel, aby sie piwem ochłodzić. Ale sie pomylił, bo krygel jakby do stolu przykuyl!



Podziwił sie, kigonoście krygel dżerży — a to Jyndrys! Dżerżoł chłopisko krygliczek całą siłom i bronił piweczka jakby skarbu jakigo. Spojrzoł na Karła i głupio sie uśmiechnył we strachu o piwko, kiere mu chcą na moc wydrzyć. — Puszczey, cóż dżerżysz! — Eh bo, dyć to moje. — Psińco twoje, boś go ukrod, pieronie! — Eh ni, bo mi go kozali. — Ale Kareł nie patrzyj, jego, czy nie jego, wyrwoł Jyndrysowi krygel z gorsci, piwo duszkiem wypił i próżny mu pod nos postawił . . . — Na, żebroku stary, wody sie nachlastej, a nie piwa! —

Widzioł to Jurek Kubiców i do Bujoczka przyskoczył. — Ty łachu zło rzeczony, cóż ty chłopu krzuidę robisz! Cudze piwo bedziesz chlastoł? — Mylcz a nie pyskuj, bo tu nimosz nic do rzeczy! — Prawie, że jo tu mom co do rzeczy złodzieju milijoński! Zapłacił ty to piwo, żeś go wychlastoł? ty żabo parszywo. — A tyś go zapłacił? Psio duszo zatracono, idź bo cie gichnem, aż ci sie hnet pyskiem czerwionka puści! — Jo go zapłacił, jo abyś wiedzioł kołtoniu, jo go zapłacił. A teraz ty zapłoć, kiejś wychlastoł, chacharze złodziejski! — Jo chachar? jo mom zapłacić, co, jo mom zapłacić?! Na, mosz zapłate, pieronie — i liz! Jurka przez gymbe, aż mu czopka z głowy spadła! Ale Jurek gipczok niedarował i pac. Karła pięścią po pysku! Otrzyns sie herszt Bujoczek jak niedźwiedz i wściekły skoczył na Jurka . . .

Zaczyni sie oba milijońsko zmagać. Targali sebo, pięściami po głowach sie prali, jeden drugigo próbował na ziem obalić! Powstoł początek bijatyki!

Między pachółkami zaś zawrzało. Otoczyli kołem pasowników, a kiedy Bujoczek noge Jurkowi poderwoł, o ziem nim maznył i pięścią po głowie zaczon bić, skoczyli Jurka ratować, i Bujoczka jak bili tak bili, kany sie dało. Kareł zaś jak byk rozhuckany, skokoł, ryczoł, pięścią walił koło siebie! Ale już też przyskoczyła jego banda mu na pomoc. Skoczyli jak psy na pachółków! I zaczęła sie bijatyka na dobre.

Dziewuchy widziały, że taki taniec nie dło nich, prask dwiyrzami, sienią do pola i uciekały ku chałupie jak kury przed krogulcem!

Pasownicy wrzaskem, wycim, przeklinaniem całom izbą, zatrzyńsli, aż szyby drżały.

Skokali jeden do drugigo, jak dziwocy kohuci i prali, bili po głowach, po pyskach, po uchu, po nosie, że sie już i krew łoć poczyna. — Młócili sie pięściami, jakby cepami miyrwe w stodole! Wścieklizna brała wszyckich coraz to wyjnkszo, krziki, wycia ustawały coraz to bardzi. Stypili sie za hyrtonie i poczyni dusić, aż pyski siniały, oczyska na wyrch wyłaziły. Kupami po ziemi sie kulali, zwijali, charczoł każdy i sapioł . . . Nic sto gadów, kiedy sie zaczną gryść i żrać!

A jak już duszynio było dość, zaczynny stołki trzeszczeć, krygle furczęć i brzinczeć, co tak nimi szastali, bili, walili! Krzyki, ryki wzmogły sie okropnie, jynkanio, stynkanio, zwuczynio coraz wiecej . . . Krew sie łoła jak w masarni . . . Tak strasznej, okropnej bitki w karczmie „pod gruszkom“ nigdy jeszcze nie było! . . .

Jyndrys boroczysko, bardzo zesmutniół, kiedy mu Kareł, ta zło dusza, piwko z krygla wypił a wody mu się napić kozoł. Eh, bo też miół nieszczyński z tym piwkem: jedno mu Francek rozłoł, drugi tyn czert Bujoczek wychlastoł! A przeca on stary Jyndrys, ani jednemu, ani drugimu nic złego nie uczynił. Nieszło mu tak o te zlywki, bo óne ciepłe, gorski, złe! dość sie ich już insze razy napił jeszcze napije. Ale to piweczko w krygliczku było taki szwarne, taki czyrstwiutki, a czopeczke miało takom pieknom, gynściutkom!

Myśłoł se go Jyndrys pięknie, pomalutku ku tworuzkom przipijać, że gorzolkę już miół wypitom, pół tworuzki i kasek rożka za jadrami, chcioł sie teraz piweczka natutać i chycił krygliczek obiema rękami, przyziyroł sie mu, do niego uśmichoł, bo przeca tak hroźnie pięknie to piweczko wóniało, aż sie ślina w gymbie zbiyrała.

Ale bo też z tego Jurka Kubicowego dobre chłopczysko. Niech mu też za to pónbóczek stokrotnie wynagrodzi na zdrowiu, na szczynściu, na wszyckim, tej roztomilej jagódce, co ze starym żebrokiem Jyndrysem taki miół przeca miłosierdzi. I od wdziynczności i uciechy jakom miół, zwilżyły się Jyndrysowi mdłe oczy. A tu tyn złorzeczyniec wydrził i wypił piweczko a z nim całom Jyndrysowom ucieche! Żeby choć chudaczysko tego piwka był liznył, ni! tela co go jyny powónioł!

I tóż boroczysko zesmutniół bardziucno, tak, że ani nie czuł, ani nie widziół, jak gwóli jego piweczka Jurek z Karlem nejprzód zwade, a potem bitke zaczyni. Aż dziepro wrzaski i ryki Jyndrysa jakby obudziły i zlynk sie straszecznie, kiedy widziół co sie robi, że to już nie taniec żoden, ale bitka hrozno; kiedy poczuł, że to już nie muzyka gro, ale ludzie wyją i złorzeczą!

Strach wielkucny go ogarnył i poczon nim pytlować i zdało mu sie, że wpod kansi miyndzy zgraje wściekłych psów, co go chcom kąsać, zagryść, na kąski poszarpać!

Że już nie w karczmie siedzi, ale kansi w piekle mjyndzi czertami, a ci skoczą, ryczą, wyją, zymbami zgrzytają, widłami żgają, łańcuchami brzinkają, a w postrzodku nich som ancykryst, taki straszny, dziwoki, jak niedźwiedź kudłaty! I widziół Jyndrys, jak tyn ancykryst łapami wali, jakby pierón bił, zymbiskami szczeko jak wilk poraniony! A oczyska u niego taki okropne, hrozne, jakby pełne siarki i ognia, a iskry sie z nich sypiom jak ze snopa! Zlynk sie tych oczy okropnie, bo sie na niego tak szpatnie, strasznie dziwały, ogniem na niego sypały. Naroz Jyndrysowi oczy osłupiały. Widziół i poznoł w ancykryście swego krziwdziciela, złorzeczonom dusze, Karła Bujoczka! I zdryntwiół, bo mu sie zdało, że tyn Kareł-ancykryst na niego sie zagjyrzo, łańcuchem grozi, a tyn łańcuch tak przeca strasznie szczyrko, brzinczy . . . I przimknął Jyndrys zdziwoczzone oczy, skurczył się z przerażynioł! . . . W tym brzink! krygel w jego głowe — i Jyndrys zwałił sie z ławy pod stół, jak wyjrzba spróchniano, kiedy pieron do ni strzeli . . .

W tej chwili też lampa zgasła i ćma się w izbie zrobiło, jak w miechu. Może kiery rznył do lampy, a może jom i wiater zgasił, bo naroz fuknył przez izbe,

że aż oknem zatrasło i szybki, jaki jeszcze zostały, z brzinkem wyleciały. A przymtym cośi zawuczało, zajynczało przeraźliwie . . . . I jak gdyby wszystkim naroz siły poodbjyroł, garła pozazdziyrgoł, odrazu biłke przerwali, a wrzaski, ryki ustały; jyny płuca zadyszane charczały i sapały jakby po jaki ciynszki robocie. Nikierych bai troche strach ogarnył, jak tak zazwuczało, a Jurek to sie wartko przeżegnoł na myślonke, że to śmierć tak zajynczała i oknem zatrasła . . .

I tak chwilke sie żoden ani nie ruszył ani gjon, bo ćma wszystkich oślepiła.

Dziepro gwizd za oknami nimi poruszoł i zacyni się pojedni ciść i prać dwiyrzami, oknami do pola. Byli to z bandy Bujoczkowej, na kierych herszt Kareł zagwizdoł.

Wypod ón z izby na pole, załedwo sie ćma zrobiła. Zmordowany, stłóczony, zbity na „kwaśne jabko“, głowsko, pysk okropnie skrwawione, odziyż na strzymy-strzampy stargane! Nic dziwnego! szak z trzema czy nie wyjncej chłopami odrazu mioł robote, a ci przykłodali milijońsko! I zebroł teraz swojom bande, kierej sie nie mjyni dostało jak samemu hersztowi, i w kity przez przyłog do lasa! Zanim Jurek i pachotcy wyszli przed karczme, o Bujoczku i jego zgrai już słychedychu nie było!

Poczyni sie teraz pachotcy przy studni z krwi obmywać, rany owięzywać, z potu i prochu sie ociyrać. Bo też nie jeden z nich oberwoł czercigo! Nejwyjncej sie bezmala Jurkowi dostało, bo mioł i głowe skrwawionom, i siniec jak piyńść pod okem, a palec szkaradnie skąsany. Ale to nic! Główno wiec, że Bujoczкови i jego bandzie portki porządnie wytrzepali! — — —

Karczmoz, jak widzioł, że sie wziyni za pyski i karczme mu chcom rozwalić, hajdy do fojta i po szandarów!

I tóż prziszli fojt, prziszł szandar, w karczmie zrobić porządek. Spostrzegli jednak odrazu, że już nima ani w czym. Okna wytłócone, w karczmie ćma, a na polu gromada pachotków chustami owiżanych. Znaków dość, aby poznać, że po wojnie. Rozkosoł teraz fojt pachotkom, by sie z miejsca nie ruszyli, karczmoz zaś światło rożgnył i weszli do szynkowni. Jak też weszli, tak o mało lampy z gorści nieupuścił z przerażynio, jak uwidzioł, co sie w izbie porobiło! Stoły sprzewracane, stołki, ławki połómane, szyby w oknach wybite, szklonki, flaszki rozciepane, pośluczone, a na dłożce kałuże krwi, z piwem, z błotem zmiyszanej! Zgroza go ogarnyła, a łzy mu sie z oczy puściły na widok telowej szkody.

Fojt aż zgłupioł, oczom swoim niedowierzioł i spoglądoł na szandara, co tyn na to! A szandar rozglądoł sie po izbie, prziziyroł sie wszystkimu i każdom wiec, czy była cało, czy strzaskano, dobrze obejrzoł. Naroz spostrzyg, że pod stołem przy piecu chłopisko leży, jednako ożrałe, bo jakóždy inaczy. Posturkoł chłopą kolbom, aby go do wstowanio przynucić: „He, chlape, auf!“

Ale chłop sie ani nie gion i leżoł dali, twarzom na dół, jak baran nieżywy. Odstawił teraz karczmoz stół, aby chłopą wydobyć, i poznoł odrazu, po dziurawym kożuszysku, że to stary Jyndrys leży. Nimozne, żeby sie był z półkwaretki



---

tak opił! — Poczyni chłopem obracać, aby go na izbe wysmyczyć, a tu pod nim kałuża krwi, a na koszulsku i na twarzy krwi skrzepłej na palec. Strach się na niego było podziwiać. — Widzieli teraz, że Jyndrys leży bez duszy, zabity! Głowe miał nad uchem na słychach strzaskanom, jakby go kiery kładziwem był piznył. Szandar z fojtem uznali, że go musioł kierysi strasznie szklonkom uderzyć, bo na ziemi pełno szkła z rozbitego krygła leżało. Szandar szkło do szkatuły pozbiyroł, książkę wydobyl i do ni coś wpiśoł.

Fojt tymczasem skrziczoł na pachotków i poczył ich ze szandarem wypytować co i jak było —

— — — — —

Wciaśniutko rano, ledwo słońko zaczęło świecić, sztyrce chłopci zanieśli na noszach trupa Jyndrysa do marowni. Przyszli potem z miasta panowie z becyrku z doktorem i protokol spisali.

A kiedy słońeczko już zachodziło, a niebiczko się zafarbiło jakby niewinnom krwiom nieboszczyka, kopidoli złożyli trupa do grobu pod płotem, przy starej topoli, bez księdza, bez ojczyńszka — — —

W całej dziedzinie nie było żodnego, okrom Jurka Kubicy, coby Jyndrysa polutowoł, choćby jednom łezkom za nim zapłakoł. Byli ba! nikierzi radzi, że Jyndrys na drugim świecie, bo się jyny bączył, ziymioczeki i kapuste wyjodoł, a nic nie robił, tela co ledwo norączke patyków naciupoł. — — —

Jyny staro topół jakby płaczem szumiała za niewinnom ofiarom przeklyntej bójki, tej cery złorzeczonego pijaństwa! — — —



Wilhelm Crege-

### TY SIĘ MŚCISZ...

- |   |  |
|---|--|
| 1. Ty się dzisiaj mścisz nad nami,<br>Ty Prusaku srogi,<br>Boś zapomniał, jaktoś ongiś<br>Lizał polskie nogi.       | 3. Dziś ty, zła się, chcesz się pomścić<br>Za hańbę grunwaldzką,<br>A robota twa, jak dawniej<br>I dziś jest łajdacką.   |
| 2. Ty dziś o tem słyszeć nie chcesz,<br>Jak twój protoplasta<br>Hołd szedł składać Zygmuntowi<br>Do Krakowa miasta. | 4. Lecz zwycięzca z pod Grunwaldu<br>Twardy zawsze, wszędzie —<br>I choć ty go dziś wywłaszczysz,<br>On Polakiem będzie. |
| 5. Bo choć ty mu weźmiesz ziemię,<br>Jego własność świętą,<br>Polskiej duszy mu nie wyrwiesz<br>Tą robotą wstrętną. |  |

## UKOCHAŁEM ŚLĄSKI LUD...

1. Ukochałem śląski lud,  
Że przetrzymał twardy trud  
I nawały wszelkie zmógł,  
Tak, że zadrżał przed nim wróg...
2. Ukochałem swoją brać,  
Że kajdany poszła rwać  
I domaga się swych praw...  
Dzielną brać mą, Boże, zbaw!
3. Ukochałem siostry swe,  
Że przy pracy i przy grze  
Swoich zadań pomne są,  
Uczą walczyć dziatwę swą...
4. Ukochałem dźwięki pól,  
Gdzie niebieski bierze król  
Polskiej pieśni szczery hołd,  
Płacąc wiernym szczęścia żołąd...
5. Ukochałem szcęk i dym,  
Gdzie rodacy młotem swym  
Rozkuwają łańcuch swój  
I gotują się na bój...
6. Ukochałem ciszę chat,  
Gdzie nie zginął w biegu lat  
Piękny polski język nasz...  
Z nim zwyciężyć, Boże, dasz!



## PIEŚNI LUDOWE.

### 15. W SZCZEREM POLU GRUSZA STOI.

Na chór młeczany ułożył P. Pustówka.

Musical notation for the first system of the song. It features a treble and bass staff with a key signature of one sharp (F#) and a time signature of 2/4. The melody is written in the treble staff, and the accompaniment is in the bass staff. The lyrics are: 1. W szcze-rem po - lu gru-szka sto - i, do po - łu jest zie - lo - na,  

1. W szcze-rem po - lu gru-szka sto - i, do po - łu jest zie - lo - na,

Musical notation for the second system of the song. It continues the melody and accompaniment from the first system. The lyrics are: pod nią sto - i mo - ja mi - ła, wiel - ce jest za - pła - ka - na.  

pod nią sto - i mo - ja mi - ła, wiel - ce jest za - pła - ka - na.

2. A cóż płaczesz i narzekasz moje miłe serduszek?  
Weźmij sobie białą szatkę, a wytrzyj se oczyszko!

3. Na cóżbych ja wycierała, gdy jeszcze płakać będę,  
Choćbym jeszcze sto lat żyła, jednak twoją nie będę.

(Śpiewał Jędrzej Lipowczan, wyrobnik w Goleszowie w r. 1905. Zanotował Paweł Pustówka,  
nauczyciel w Goleszowie.

## 16. EJ ZNAM JA PTASZKA W LESIE.

Na chór męzki ułożył Paweł Pustówka

*Żwawo.* *f* *pp* *mf* *Trochę wolniej.*

1. Ej znam ja pta - szka w le - sie, w le - sie, ma - lo - wa - ne jaj - ka

*Powoli.* *mf*

nie - sie, je-dno bia - ła, dru-gie sza-re, te ró-wień-skie\*) dziewczki sta - re.

*Żwawo.* *mf* *pp* *mf* *Trochę wolniej.*

2. Go - le - szow-skie\*) młodziu-sin - kie, młodziu-sin - kie, ma - ją gę - by sło-dziu-  
3. Nie-ma sie-dlak te - la ma - ku, te - la ma - ku, ja - ko dziewczę w gę-bie

\*) Zamiast „rówieńskie“ „goleszowskie“ podstawia się według woli inne.



Powoli.  
*mf*

2. sin - kie, jak ja je-dnę po - ca - łu - je, to się ty-dzień ob - li - zu - je.  
3. sma - ku, jak ja je-dnę wy-tań - cu - je, to mie za - raz po-mi - łu - je.

*mf*

(Śpiewał Jerzy Lipowczan, wyrobnik w Goleszowie w r. 1905. Zanotował Paweł Pustówka.

## 17. GÓRY, DOŁY, CZARNY LAS...

Z życiem, niezbyt prędko.

*mf*

1. Gó - ry, do - ły, czar - ny las, gó - ry, do - ły, czar - ny las; nie wi -  
dzia - łem swej ko - chan - ki da - wny czas, da - wny czas, nie wi - dzia - łem  
swej ko - chan - ki da - wny czas, da - wny czas.

2. [: Kto ją widział powiedzcie, [: moje serce zasmucone pocieszcie, pocieszcie! :]
3. [: Jam ją widział, ja powię: [: targała tam w ogródeczku rozmaryn, rozmaryn. :]
4. [: Zerwała też dwie róże, [: zanieśła je syneczkowi na łożę, na łożę. :]
5. [: Będzie się mu miło spać; [: on mi będzie jutro rano dziękować, dziękować. :]
6. [: Dziękuję ci ma miła, dziękuję ci dziękuję, [: mój kłobuczek lemovany zdejmuję, zdejmuję. :]

Śpiewała Marya Mrowcówna, zanotował w Rychwałdzie Paweł Marek w r. 1907.

## 18. COŚ TAM W LESIE PUKNEŁO.

(Melodyę a) i tekst zanotował Jan Marcinek w Trzyńcu.)

a)

1. Co - sik w le - sie pu - kny - ło, co - sik w le - sie pu - kny - ło,  
a to ku - mor z dę - bu spod, za - ło - mił se w kar - ku skład.

b)

1. Coś tam w le - sie pu - knę - ło, coś tam w le - sie stu - knę - ło.  
A to ko - mar z dę - bu spadł, zła - mał so - bie w kar - ku skład.

(Melodyę b) zanotował A. Hławiczka, śpiewała Górniakowa w Sibicy.)

2. Przyleciała tam mucha,  
Już jest kumór bez ducha!  
Pytała się kumora,  
Jesi trzeba doktora.

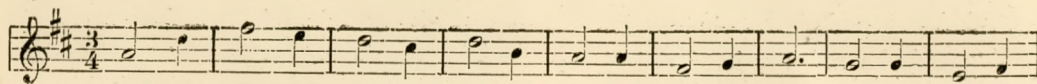
3. Nie trzeja już doktora,  
Ani księdza z Przybora,  
Ani żodnej aptyki,  
Jeny ryl a motyki.

4. Piekny pogrzeb sprawiły  
Wszycki muchy płakały,  
A śpiewały rekwije,  
Już nasz kumór nie żyje!

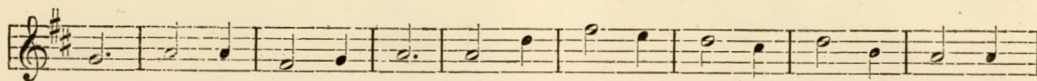


## TAŃCE LUDOWE.

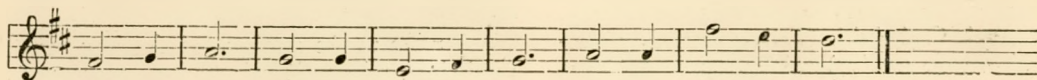
### 4. NA WODZIENCIE NA POTOKU.



1. Na wo-dzien-ce, na po-to-ku, gą-ski sie pie-rą, gą-ski sie pie-



rą, gą-ski sie pie-rą; mój Ja-sien-ku weź strzel-bi-czkę za-bij



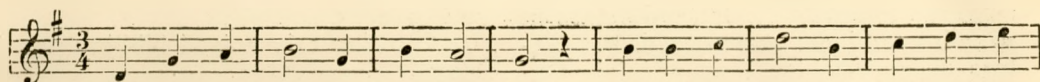
mi kie-rą, za-bij mi kie-rą, za-bij mi kie-rą.

2. Ja tej gąski nie zabiję  
Bo ją dobrze znam,  
[: Boją dobrze znam, ;]  
Są to gąski mej Haniienki;  
Którą odwiedzam.  
[: Którą odwiedzam :]

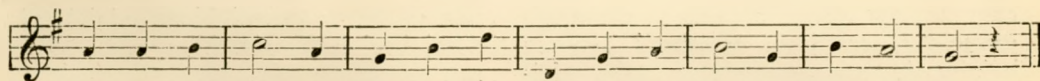
3. Gdybym ja jej jedną zabił,  
Gniewałaby się,  
[: Gniewałaby się :]  
A gdybym tam kiedy przyszedł,  
Wadziła by się  
[: Wadziłaby się. :]

(Zanotował w Hażlachu w r. 1008 Rudolf Zubek.)

### 5. STOI NA ŁĄCZCE OLSZYNKA.



1. Sto-i na łącz-ce ol-szyn-ka; sto-i na łącz-ce ol-szyn-ka,



pod tą ol-szyn-ką dziew-czyn-ka, pod tą ol-szyn-ką dziew-czyn-ka.

2. Tam na kamieniu siadała,  
Złote swe włosy splotała.  
3. O włosy moje złociste,  
Spłotłam was dzisiaj zaiste.

4. Już was nie będę splotała,  
Bom was już dzisiaj sprzedała.  
5. Kupił was mój kochaneczek,  
Za ten rąbkowy czepeczek.

(Zanotował ś. p. Józef Londzin, nauczyciel w Zabrzegu. Manusk. Nr. 18.)





## NAJPOCZYTNIEJSZE KSIĄŻKI POLSKIE.

DANIEL. Napisał Stanisław Wyspiański. Kraków 1908. 8°. Str. 46. Pism pośmiertnych tom I.

Z nagłówka mógłby ktoś sądzić, że Daniel, to dzieło Wyspiańskiego ostatnie może, którego on już ogłosić nie potrafił. Lecz tak nie jest. Daniel, to jeden z pierwszych utworów naszego Poety, bo napisał on go jeszcze w roku 1893. Miał on stanowić libretto opery, do której muzykę stworzyć miał jeden z najbliższych przyjaciół Poety, Henryk Opieński. U niego utwór pozostał, on go po śmierci Poety wydał drukiem. A więc, jeżeli to był jeden z pierwszych utworów Wyspiańskiego, mógłby ktoś znowu pomyśleć, że Daniel jest zapowiedzią tego wszystkiego, co nastąpić miało, że plany twórcze naszkicowane jedynie w Danielu, rozwinął Wyspiański dopiero w Weselu, Wyzwoleniu, Warszawiance i t. d. Lecz i na tym punkcie zdanie jego byłoby mylne, bo Daniel nie jest zapowiedzią dzieła, ale jest dziełem samym.

Wprawdzie w Danielu nie skrytykował się jeszcze zupełnie kierunek, w jakim miał kroczyć Wyspiański w latach późniejszych. Od pierwszego dzieciństwa gorący wielbiciel malarstwa i muzyki, zajmował się Poeta temi sztukami z nadzwyczajnem zamiłowaniem. Talent malarski objawił się później w licznych dziełach pędzla jego, w jego prześlicznych witrażach. Talent muzyczny znalazł ujście w dziełach dramatycznych. Dusza jego nawskroś liryczna byłaby się niewątpliwie wyraziła wielkimi dziełami muzycznymi, gdyby nie to, że nie posiadał technicznej wiedzy kompozytorskiej. Tak musiał się zadowalać tylko tem, co umiejącym pisać nuty podyktował, a resztę swych pomysłów przelewał na papier w postaci głębokich utworów dramatycznych. A może lepiej, że tej wiedzy kompozytorskiej nie posiadał, bo wtedy znalazłszy uj-

ście dla swego liryzmu w muzyce, byłby poprzestał na tworzeniu muzycznym, a tak dał nam dzieła nadzwyczajnej wartości, tytanicznej mocy, dzieła, które pogrążony w bezdennej melancholji naród potrafią napęlić nadzieją lepszego jutra, do walki życiowej go zahartować.

I Wyspiański pod wpływem przedewszystkiem Wielkiej Opery w Paryżu naszkicował w r. 1893 mnóstwo tekstów operowych, z których dotychczas odnaleziono tylko Daniela.

A więc może znowu Daniel bez muzyki jest niezupełny? Tekst operowy Daniela bez muzyki jest wspaniałym dramatem. Co prawda, to muzyka w niektórych miejscach nadawałaby poematowi ton właściwy, czyniłaby go zrozumialszym, ale kiedy praca kompozytorska nie wyszła poza stadjum szkicu, trzeba się cieszyć tem, co się ma, i trzeba widzieć w Danielu nie libretto operowe, ale dramat najczystszej próby, bo tym jest Daniel w rzeczywistości.

Temat sam, wyjęty z Pisma św., jest nadzwyczaj liryczny. Daniel Wyspiańskiego, to ów potężny prorok Daniel, co nie uląkł się groźb Baltazarowych, nie wyrzekł się myśli o swojej ojczyźnie, mówił zawsze Baltazarowi czystą prawdę w oczy.

Oto, jak cały epizod biblijny przedstawił Wyspiański:

Baltazar właśnie zwyciężył nowe ludy i wielką z okazji zwycięstwa wyprawia ucztę, w której biorą udział także dwaj inni królowie. Wszystko do nóg mu się garnie, do ziemi mu się kłania, a on dumny ze zwycięstwa, dumny, że wszystko stopy mu liże, poddańczym ludom swoim wyrzec się każe wszystkiego, i łez matczynych i trosk ojcowskich pamięć zapomnieć im każe. W kątowaniu tych, którzy się mu nie poddali, a później w jego dostali się niewolę, nie jest on wcale wybredny. Kiedy już wszyscy zasiedli do uczty, przepę-

dzają przez salę biesiadną strażnicy więźniów w kajdany, żelaza okutych, aby widzieli hańbę tych, co kraj ojczysty zdradzili, do nóg się rzucili najeźdźcy i ich chwilowy dobrobyt. Lecz więźniów tęsknota za wolnością, za wolną ojczyzną gryzie, z drugiej strony głodem morderzeni więźniowie gotowi zrzec się wszystkiego, byle tylko jeść dostać, szalone ugasić pragnienie. Ale Baltazar jest dumny i zimny, wypędzić ich każe precz, a oni przepowiedzą mu śmierć, wymodlą mu się śmierć. I zaczyna król kpić z podbitego synów kraju. I wyrzec im się każe ideałów, każe im żyć rozumem, dla chwili. I wypierają się oni wszystkiego, wygnanych poetów nie znają, swój im żal nieść rozkażą w dal.

Poeci precz odeszli, więźniowie do swych kazamat odeszli, a król świątyni świętości synom podbitego kraju sobie oddać każe. Przynieść im każe z świątyni pułhary, do ofiar świętych służące; bluźni ich Bogu, w święte się trąca pułhary, bo on silniejszy niż Bóg, silniejszy, aniżeli losu siła — jeżeli wogóle kiedy był Bóg.

Lecz siła okazała się boska. Ciemność zapadła wkoło, pioruny bić zaczęły. Wszystkich strach paniczny ogarnął. Sam król zaczyna drzeć. W ciemnościach szukają króla. I nowy staje się cud. Na ścianie ręka pisze. Tłum zmusza króla do spojrzenia na ścianę, lecz ten nie rozumie obcych słów a prawdę chce słyszeć, nie chce służalczych słów i Daniela z jaskini lwów przyprowadzić każe.

Nieprzychylny do światła, do słonecznych promieni wrogów ma Daniel ze światłem zobaczyć zgon.

Już śmierci skrzydło ciche  
przemknęło po złotych ścianach...

Już bladeść zaraźliwa  
wesołość z twarzy zrywa,  
z rumieńców wije wianki,  
dla śmierci swej kochanki.

I rzuca przekleństwo tym, co wydrzeć mu chcieli ziemi ojczystej miłość, by w hańbie żył. A kiedy go chcą dopaść ci, którym prawdę powiedział, uwalnia się z ich rąk, nowej siły przepowiada powstanie:

Ja nie jestem, jak tylko fantazją,  
ja nie jestem, jak tylko poezją,  
ja nie jestem, jak tylko duszą...

Ale za mną przyjdzie moc,  
poczęta z moich słów,  
moc, co pokruszy pęta,  
co państwo wskrzesi znów!

Z słów jego bije moc, król słyszał zgonu swego przepowiednię, do lwiej go każe poprowadzić jaskini, a synowie podbitego kraju nie tarzają się już w prochu przed Baltazarem, lecz podawszy sobie ręce, złączeni razem widzą, że

Oto nasz prorok, nasz król-duch,  
jego myśl zostanie w nas!

Taka byłaby treść Daniela. Z krótkiego streszczenia widać, że odmienna nieco od treści Pisma św.

Główną postacią jest oczywiście Daniel, Daniel potężny siłą własnego natchnienia, on, nieulekniony, święty prorok; Baltazar jest również potężny, ale potężny swą przemocą, swą siłą własną. Te dwie się zmagają potęgi i dobra, czysta, potęga zwycięża. A dalej ten tłum, czołgający się u stóp Baltazara, pod wielkich słów Danielowych techniem nabierający sił, we własne siły wiary — to wszystko daje obraz jeden, wspaniały, głęboki, wdzierający się w duszę i gryzący bolem niezgłębionym. Bo czujemy, że Daniel jest alegorią naszych stosunków, że Baltazarem nikt inny, jak Mikołaj I., monarchami Prusy i Austria, a synami podbitego kraju — Polski — my sami. Powiedział nam prawdę Daniel. Wypsiański i siłą nas natchnął, mocnymi nam być kazał.

Emil Niebrój.



## HANDERLOK\*).

(Monolog.)

(Ubrany jak żebrak, płóciennie torby zabrane po obu bokach, zawieszone na krzyż przez plecy, z wyżebranymi darami; stary, siwy, niegolony, broda strzyżona krótko. Wchodzi z worem szmat na plecach, na którym siada chwilami wśród opowiadania.)

(Śpiewa na mel.: „Świecie, świecie“.)

Czy to handra, czy szufeca,  
Niech wandruje z poza pieca,  
Niech wandruje do kobielei,  
Byście jegły, nici mieli.  
Powiem wam też co nowego —  
Rozumi się prawdziwego —  
Wy też potem co powiecie,  
Jesi co nowego wyicie.

A już to człowiek jyny na tułaczke je stworzony; prawdziwy Haswerus — ten wieczny żyd — co to Panu Jezusowi nie chciół sie dać oprzyć z krzyżem o swój dom. Cało naszo rodzina je tako wandrowno. Mój starzik był handerlokiem, mój tata byli handerlokiem, joch je handerlokiem, moi trze chłapcy uczom sie za handerloków — już piónty rok jedyn sie uczy — i je już ożyniony. A mo pieknóm cere, takom jeszcze maluńkom (pokazuje), ale że- byście wiedzieli, jak ją już ciągnie ku handrom! Szkoda, że to je dziywce. Dyby to tak był chłapiec, toby wyrós na bardzo utalyntowanego handerloka. Ale od rodzaju żyńskiego jest odjynte to berło.

(Zwraca się do jednego z słuchaczy.) Co? Jak to? Aha, żech mówił, że synowie uczóm sie za handerloków, a jedyn już piónty rok? Cóż to dziwnego? Przeca do- któr musi sztydyrować dwacet roków, aby rozpoznać nimoc, a handerlok musi sztu-

dyrować sześć roków, aby poznać, jakom handre dostał, czy jedbowną, czy satynowóm, czy zametowóm. A to nie tak lechko rozróżnić, jak na nich pełno brudu, jak som zaszmelcowane, abo jyny jakisikej strzympy z nich pozostały. A jak to mo porozkłódate wedla zorty, to musi wedla fabryk to jeszcze rozdzielić. Jo znóm do- kładnie historyje moich hander, wiyam na- przód, jaki handry w kierej chałupie do- stowóm, ba jo nawet po handrach poznóm, czy to som porzónni ludzie, czy ni. Roz- ech w jednej chałupie dostał handry i za- rozech poznoł, że one uczciwościom nie wóniajom i dowiedziółech sie potym, że za te handry, jak jeszcze miały postać ja- kli, ta baba przesiedziała sie tydzień w bąku za to, że ji ta jakla na jarmaku cie- szyńskim skoczyła z klinka do wynzelka, a baba ji z tamtela nie wyganiała. A co do tego uczenio, to handerlok nie uczy sie tak dłuogo, jako dróciorz, bo jyny sześć ro- ków, ale też może pryfunku nie zrobić, ja- ko dróciorz. A oto tamta freliczka (poka- zuje) tak sie dziwajom na mie, jakby mie nie znali. Wiedzóm, jak sie nazywom? Ni? Ojoj, na co też to młode pokoleni nie scho- dzi, nie wiedzom nawet, jak sie landowy handerlok nazywo. No, ale retujmy, co sie jeszcze do! Jo sie nazywom Besztekur\*\*) i jezdech landowy handerlok. A wiedzom, co to je handerlok? Też ni? No, z nimi to już amyn tabaka, nie do sie nic zrobić. Do- wni, to ludzie nie umieli pisać, ani czytać, ale co to je handerlok i gdo to je Beszte- kur, to każdy wiedziół. Że świat sie psuje, to poznowom też po tych handrach. Downi, to były handry — ale teraz! Downi, to jakech komu powiedziół, że z hander robi

\* szmaciarz.

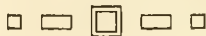
\*\*) Istniał rzeczywiście handerlok Besztekurem zwany w okolicy Cieszyna w latach 80-tych przeszłego stulecia, który był chodzącą pocztą, wszystkich ludzi znał i mnóstwo opowiadał bajek i prawdziwych zdarzeń. Niektórzy ludzie z Kocobędza np. go jeszcze pamiętają. (Przyp. redaktora).



się cukier, to każdy wierzył bardzo chętnie. A dlaczego wierzył? A no bo były porzondne handry i żodnemu nie ponukło pomysłu, żeby z taki fajnej handry nimóg zrobić cukru. Teraz, to już tego nimogym mówić, boby się zymnie wyśmiali, że z hander nimoże być cukru; nie dziwnego, bo z takich ordynarnich hander musiołby być ordynarni cukier, może kwaśny, abo gorski. Ci ludzie są jeszcze tak nieokrzesani, że króm tego, że nie chcóm wierzyć, jakoby z dobrych hander można narobić dobrego cukru, jeszcze mi mówią, że ich handry są bardzo fajne. Pfuj, takich hander, to ani parlamynter w Cieszyńie nie zbiyro! A też się bedom możne pytali, jak długo już ech je handerlokym. O, już bardzo długo. Na swatyduch bedym mioł już piędziaszeździesiont roków, a z tego 50 już łazim za handrami. (Do publiczności): Co? Czymuech nie dostał metalu za długom służbę? Och, to już taki świat! Człowiek się staro, aby pozbawić świat hander, by się tam co nie plógnęło szpatnego w nich, ale tej rzeczy nie chcom uznać za zasługę i metalu nie dali. Ale jo mom metale z prajski wojny, coch się tam bił

za naszymygo cysarza. O tym, to dzisio nie bedym wykłodoł, choć to som bardzo szumne bojki. (Patrzy w okno.) A no teraz to już pujdym, bo jeszcze som chwala Bogu ludzie, co mie z bołym serca czakajom. Mom też pore nowin — nie zmyślonych — ale prowodziwych. Ludziska bedom wybałuszali oczy, jak im zaczynam opowiadać, że się w parlamencie za pijoki bierom, że land już doł zrobić bardzo moc wagonów, aby módz w nich wozić wode do tego nowego kanału Dunaj-Odra i że tyn kanał bydzie tak zrobiony, aby można automobilami w nim jeździć, jakby cugi tela wody nie nawiózły, abo jakby — co nie daj Boże — morze wyszło. (Patrzy do okna.) Aha! Już Hana z pod mostu kiwie na mie, abych czym przyndziej prziszeł. Tam bedzie piyrso wymiana nowin. Hana mo dobre nowiny, ale jeszcze lepsze handry. Jakech był młody, toch bai ku ni na zolyty chodzowół, ale potymech musioł iść na wojne i tak się to jakosi rozłoło. A tuż z Panym Bogym zustońcie!

(Bierze wór z łachmanami na plecy i odchodzi.)



Fr. Chlebowszczyk.

## GŁOSY.

Gdym przechodził koło pola,  
Jaskółeczka na mnie woła:  
Hej ty człeku! wiesz ty — rzecze —  
Że lenistwo grzechem przecie?  
— Zdążam dalej ku pasiece,  
Pszczołka woła: Hej ty człeczko!  
Pracuj, jak my tu w pasiece!  
Podobać się będziesz Bogu  
I nie doznasz nigdy głodu!

## KOBIETY.

Kto z wami trafi do ładu,  
Kto? — niechajże to kto wyzna!  
Jeszcze nie było przykładu,  
By sprawę wygrał mężczyzna!  
Z kobietą sprawa nie łąda  
Kłóć się od świtu do zmierzchu:  
Mężczyzny sprawa upada  
Kobieta zawsze na wierzchu.

Zaniesiesz sprawę do pana:  
Pan sędzi, sędzi i sędzi,  
Jej będzie sprawa wygrana,  
A męża biją, że błądzi.  
Zaniesiesz skargę do sądu,  
A sędzia sprawę rozłoży,  
Żona pewno dozna względu,  
A męża wsadzą do kozy.



## MATERYAŁY.

### O GOROLU.

1. Roz jeden gorol łoz na grube drzewo, aby wybrać pszczołom miód. Szło mu to wylazowani strasznie procznie, więc wzdycha: „Panienko, pomóż, kupie Ci tyłą świeckę jak dysel.“ Panienska mu pomógła i wyłoz gorol i siad se na gałąź i mówi: „kupię Ci teraz albo nie kupię“. A w tym mik też, gałąź się łamie, bo była sucho i górol za bluźniyni leci na spodek. Na zymy był drugi gorol. Na tego więc ten, który z drzewa lecioł, wreszczy: „Ściel mech, ściel mech!“ Nale gorol na spodku miol zaroz pod ręką pnioki i to ciepół pod drzewo zamiast mchu, więc się na nich gorol zabił.

2. Pos gorol owce na gorach. Blisko niego szel szklorz z szybkami na plecach i stanął se niedaleko niego, aby z nim troszke pogodać, a okno z pleców zestawil na zym, bo mu było bardzo ciepło. Chnet przyszeł ze zadku ku szybkóm stary baron i zaczął sie boczyć na szkło. Pastyrz widzioł go i woło na szklorza: „Jano! weź se swoji kraselka, bo uderzy.“ Szklorz, jako że nie widzioł barana, obejrzoł sie po niebie, ale tam nie widzioł żodnych chmur, więc mu pedzioł: „A dyć sie nie mroczy“. „Ale sie natahuje“, woło pastyrz i w tym

baron rogami buch do szybek i potłuk wszystkich.

(Zanotował w Bronowie Jan Szcz. Kopeć.)

### JAKO CYGON PRZYNIÓS FARORZOWI SZTYRY GĘSI.

Roz posłoł pon verwalter sztyry gęsi panu farorzowi na kiermasz, co sie odbył na świętego Marcina i spuścił sie na cygona, bo on służył już dłuższy czas u verwaltera. Posłoł też panu farorzowi pismo, a w nim było napisane, że mu posyło sztyry gęsi. Cygon po chodniku ukrod jedne gęś a dostawił panu farorzowi jeny trzy. Przychodzi do fary i prai: Niechali sze pon verwalter odporeczycz i posyłał im ty gęsi na kiermasz, a potem oddoł pismo. Pon farorz odewrził pismo a prai: „Nale cygonie, dyć ty przynoszosh jeny trzy gęsi!“ Nato cygon: „Ja, Ja, wielebny panie, dobrze prawia, trzy gęsi zech przynioś!“ Farorz prai: „Nale sakulencki cygonie, dyć w piśmie stoi, że mom dostać sztyry gęsi.“ A cygon prai: „Tóż to mają dobrze, wielebny panie. Jo im przynioś trzy gęsi a sztwortą mają na pismie!

(Według opowiadania Biłki z Lesznej spisał F. Francus.)

